

Pani Marta Oulie



SIGRID UNDSSET

Pani Marta Oulie

TŁUM. KATARZYNA TUNKIEL

I

„Byłam niewierna mężowi”.

Zapisuję i siedzę wpatrzona w te słowa — całkiem zajmują mi myśli. Tak samo zapisywałam niegdyś nazwisko Ottona i się w nie wpatrywałam: „Otto Oulie, Otto Oulie, Otto Oulie”.

26 marca 1902

Listy Ottona przychodzą niezawodnie jak wtorek i sobota. Jest dobrej myśli i pisze, że u niego coraz lepiej. Po ich lekturze zawsze ogarnia mnie ten sam zawód, takie są bezosobowe — choć pisze prawie wyłącznie o dzieciach i domu, a tak mało o tym, jak żyje im się w sanatorium. Człowiek ma jednak wrażenie, że równie dobrze mogłoby chodzić o jakikolwiek inny dom i inne dzieci.

Sama się wstydzę, że myślę o takich rzeczach — skupiam się na charakterze pisma przedsiębiorcy i stylu przedsiębiorcy — a mimo to w każdym liście wyczuwam, jak bardzo za nami tęskni, mój biedny chłopiec, i jak bardzo nas kocha.

Ja też nie potrafię zresztą sklecić choćby jednego naturalnego, niewymuszonego listu. Piszę jedynie o dzieciach, lecz sama widzę, jak źle napisane są moje listy. Ale Otto pewnie tego nie zauważy.

2 kwietnia 1902

Dzisiejszy list Ottona smutniejszy był niż którykolwiek wcześniej. Tak strasznie tęskno mu do domu. Mówi, że całe popołudnie spędził, czytając stare listy ode mnie i chłopców i oglądając nasze fotografie. „Co wieczór całuję zdjęcia Was wszystkich; to małe, które Henrik zrobił Einarowi i Tobie w domku letnim, wisi nad moim łóżkiem, ale ja je zdejmuję i całuję każdego wieczoru, gdy gaszę światło”.

Prosi, bym wreszcie przyjechała do niego na Wielkanoc; tak, drogi mój, pewnie przyjadę. Och, sama też tęsknię za tobą, Otto. Tęsknię jednak za niemożliwym, życie i duszę oddałabym, aby coś się odstało. Och, czyste mieć, dobre, spokojne sumienie! Nic wtedy nie mogłoby mnie onieśmielić, a każde napisane czy wypowiedziane do ciebie słowo dawałoby ci siłę, nadzieję i życiową energię, dzieciom zaś byłabym i ojcem, i matką pod twą nieobecność.

W ogóle nie myślałabym wtedy o sobie, tylko o was, moich ukochanych, bylebyś tylko wyzdrowiał, Otto. Tak marnie czuję się przez to, że stale chodzę tylko i rozmyślam o swoich sprawach, ale ani na chwilę nie mogę przestać. I boli mnie to tak samo jak na początku albo i mocniej. Bo muszę znosić to całkiem sama, wbijam sobie te myśli do głowy, aż trawią mi umysł niczym nowotwór. I przypomina mi się o tym dwadzieścia razy dziennie — znieść się nie da, gdy Otto pyta, czy widziałam może niedawno Henrika, czy często u nas bywa i tym podobne. Mówi o nim prawie w każdym liście. I jeszcze wszystkie te pozdrowienia dla Åse, „słodziutkiej Małenkiej, której ojciec prawie nie widział”; wypytuje o wszystko na jej temat.

List

Zdrada, Dziecko

Bóg wie, co by się stało, gdybym któregoś dnia powiedziała Ottonowi: „Åse to nie twoje dziecko. Henrik i ja, my, którym wierzyłeś najbardziej na całym świecie i których najbardziej cenileś, zdradziliśmy cię. To Henrik jest ojcem Åse”.

Nie wiem, co by zrobił — nie potrafię sobie tego wyobrazić. Wiem tylko, że jego życie byłoby doszczętnie zniszczone, że nic by zeń nie pozostało — dokąd miałby się zwrócić ze swym bezgranicznym, straszliwym poczuciem krzywdy? Że zdradziliśmy go, choć sam zawsze był taki wierny — nieznośnie wręcz wierny, pod każdym względem. Odkąd się pobraliśmy, patrzyłam, jak żyje tylko dla swojego domu, dla mnie i dzieci — jakbyśmy byli jego wierzycielami — mieliśmy prawo zabrać mu każdą dostępną godzinę i każde zarobione przez niego øre¹.

Pewnie nawet nie wierzy, że coś takiego — niewierność i cudzołóstwo — mogłoby pojawić się w jego życiu. Na peryferiach jego egzystencji zapewne czasem zdarzało się, że jakiś mężczyzna „uwiódł kobietę” czy zdradził żonę albo był mężem „szmaty”, Otto zaś ma na te sprawy pogląd boleśnie nieskomplikowany i zawsze w takich przypadkach mówi, że tego czy tamtą należałoby zastrzelić lub wrzucić w worku w nurt Akerselven².

Biedny Otto — i biedna ja.

3 kwietnia 1902

Znowu zaczęłam prowadzić dziennik. Prowadziłam go również, gdy byłam zakochana w Ottonie, ale niewiele w nim pisałam — wówczas nie chciało mi się nad sobą rozmyślać.

W dawnych czasach zawsze złościło mnie, kiedy w książkach twierdzono, że kobieta szczęśliwą jest tylko wtedy, gdy absorbuje ją inny człowiek. Teraz mogę się pod tym oburącz podpisać, jak pod innymi wyswiechtanymi, oklepanymi prawdami, które kwestionowałam w młodości.

Teraz rozumiem, dlaczego przestępca wyznaje winy, a katoliczki nałogowo się spowiadają. Powiedziałam kiedyś, że zdołam dokonać morderstwa i żyć z własnym sumieniem jako wtajemniczona, sędzia, wyznaczająca karę lub orzekająca o łasce. Boże mój, chodzę tylko i rozmyślam, aby komuś to wyznac — w nocy leżę na przykład i myślę, że któregoś dziecko przyjdzie kiedyś dorosłe, udręczone na duszy i zwierzy się swojej matce — a ja powiem mu wszystko, co je przerazi, będzie przestrożą, siłą, pomocą, zbawieniem — uch!

Jakąż rozkoszą byłoby móc uklęknąć w konfesjonale, wyjawić wszystko księdzu za kratką i wrócić do domu z poczuciem ulgi i czystym sumieniem. Albo odpokutować za grzechy w więzieniu.

Ja zaś spisuję kolejne strony. Boże drogi, ależ ze mnie nędzarka! Wyobrażałam sobie, że mniej będę myśleć o tym za dnia i mniej leżeć bezsennie w nocy. Do pewnego stopnia mi się udawało, choć to raczej z powodu wielkanocnych porządków.

Jutro jadę do Lillehammer³.

22 czerwca 1902

Znowu próbuję pisać, bo nie wytrzymuję już własnych myśli. Jakby jakaś nadludzka wyobraźnia wszystko to wymyśliła i uczyniła najbardziej nieznośnym, dręczącym i wzburzającym, jak tylko możliwe. Bliska jestem nawrócenia na wiarę w opatrzność.

Zdradziłam męża — młodego, pięknego, miłego, wiernego, dobrego i szlachetnego — z jego najlepszym przyjacielem i współnikiem, a moim kuzynem, którego znam od dziecka i przez którego zbliżyliśmy się do siebie z Ottonem. Teraz zaś Otto leży w Grefsen⁴, chory na suchoty, a mój kochanek płaci za niego i wszystkich nas utrzymuje. Otto natomiast o niczym nie ma pojęcia, a ilekroć go odwiedzam, opowiada tylko, jak niezrównanym przyjacielem jest Henrik i jak niezrównaną ma żonę. Na dodatek wygląda na to, że z czwórki moich dzieci właśnie to, które jest naszą sprawką, ma za najbliższe i właśnie o nim stale chce słyszeć.

¹øre — drobna moneta skandynawska. [przypis edytorski]

²Akerselven a. Akerselva — norweska rzeka, przepływająca przez Oslo. [przypis edytorski]

³Lillehammer — norweskie miasto i gmina, położone w okręgu Innlandet. [przypis edytorski]

⁴Grefsen — obecnie dzielnica norweskiej stolicy, Oslo. [przypis edytorski]

O całym nieszczęściu dowiedziałam się, gdy pojechałam do Ottona w Wielkanoc. Chciał wracać do domu, a gdy powiedziałam, że moim zdaniem powinien zostać tam, aż wyzdrowieje, odparł, że nie może ciągle być utrzymywany przez Henrika. Wyjeżdżając, myślałam, że wyzdrowieje w parę miesięcy na tyle, by znowu pracować w biurze. Wtedy dowiedziałam się, że kiedy Otto i Henrik zakładali spółkę, Henrik wpłacił cały swój kapitał na rzecz niewielkiego przedsiębiorstwa Ottona. Zawsze myślałam, że Otto coś odziedziczył wtedy po teściu, choćby niewiele; okazuje się jednak, że nic. Przedsiębiorstwo prosperowało, a Otto ma niezłe kontakty, ale za mało środków do pracy, i chociaż jest zdolnym przedsiębiorcą, twierdzi, że Henrik zachował się wtedy jak dobry przyjaciel.

— Harowałam jak wół, pókim był zdrow — powiedział Otto — i nie miałem sumienia, żeby wyjeżdżać, kiedy Henrik to zaproponował, ale nie mogę latami leżeć w bodaj najdroższym uzdrowisku w kraju.

Usłyszawszy to, prawie się wygadałam — tak straszne były to wieści. Ale mogłam jedynie zgodzić się z Ottonem. Zaproponowałam, że wynajmiemy coś za miastem, a ja dobrze się nim zajmę... Boże, jak ja go prosiłam. Również dlatego, że chciałam coś dla niego zrobić, a Otto był mocno wzruszony, płakał z głową na moim ramieniu i bezustannie gładził mnie po policzku i dłoniach. Ale nie chciał ze względu na dzieci — biedaczek, pojęłam, że nie ośmieliłby się żyć z nami w sposób, jaki był teraz konieczny. To okropne patrzeć, jak cierpi i trzyma się życia — boi się.

Pojechał ze mną do domu i spędził tam trzy tygodnie. Cieszyłam się, że jest obok, bo nie mogłam już prawie znieść tej samotności, ale, Boże, było to jednak przerażające. Patrzeć przy tym, jak boi się zarazić dzieci — a przecież stale przy nim były, a on przy nich.

Codziennie siedział w biurze, a ja ciągle musiałam słuchać o Henriku. Otto stale sprowadzał go też do domu na kolację i obiad. Henrik wcale nie czuł się lepiej, co było mi pociechą. Jakie to żalodne. Po cichu przyglądałam się, czy przez ostatnich parę lat bardziej posiwiiał, ale pomimo chęci nie wykryłam, żeby cokolwiek się zmienił, odkąd powrócił z Anglii.

Otto jest teraz w Grefsen. Gdy tylko się tam znalazł, zaczął silnie pluć krwią i wciąż pozostaje w łóżku.

Przyjęłam posadę w starej szkole, zaczynam po wakacjach. Oczywiście niezmiernie mnie to raduje; w ten sposób mogłabym żyć z dziećmi bez pomocy przedsiębiorstwa. Z drugiej strony rozleniwiło mnie takie wygodne życie, jakie wiodłam przez ostatnie lata. W zasadzie wolałabym pewnie siedzieć w fotelu i cały dzień rozmyślać nad sobą — obawiam się powrotu do pracy.

Tego popołudnia, kiedy zdecydowano, że Otto pojedzie do Grefsen, Henrik przyszedł do pokoju dziecięcego, w którym siedziałam.

— Marto, dopóki Otto jest chory, musimy udawać, że nic między nami nie było — powiedział. — Musimy!

Ma rację i, jak mawiają, trzeba go powiesić.

25 czerwca 1902

Jutro Åse kończy rok. Był to najdłuższy rok mego życia. Mam wyrzuty sumienia wobec małej; uważam, że nie byłam dla niej dość dobrą matką. Zresztą dla pozostałej trójki też nie — dom w ogóle nie przypomina tego, czym być powinien.

Och, słodkie dziatki, wezmę się w garść, bo w domu powinnyście widzieć jedynie uśmiech i słońce, słyszeć same dobre słowa. Ale ostatnio zaczęło się psuć. Nie tylko dlatego, że chłopcy są starsi, że nie przychodzą już jak kiedyś na pieszczoty — kiedy zbieram troje najstarszych po południu, nie układają mi już głów na kolanach, nie przyciskają się do piersi i nie walczą o moją uwagę.

Obawiam się jutra. Nie mogę przecież odmówić dzieciom tradycyjnego ciasta czekoladowego. Einar i Halfred marudzili już, żebym pomogła im wydłubać pieniądze ze skarbonki — chcieli kupić małej prezenty. Musiałam się powstrzymać, by nie okazać im zniecierpliwienia, co oczywiście zauważyli; oddalili się chyłkiem niepyszni. Biedne maluchy... Jutro muszę też wybrać się do Ottona.

Dziecko, Dzieciństwo

Dzisiaj jest moja rocznica ślubu.

Zabrałam do niego troje najstarszych; zwyczajnie nie śmiałam jechać tam sama. Jak zauważyłam, Ottonowi nie spodobało się, że ich dziś ze sobą wzięłam. Lał deszcz, przez co również, jak twierdził Otto, nie powinni przyjeżdżać.

— Są chyba dobrze ubrane, co? Niech no ja sprawdzę, jakie macie stopy... Nie jest wam aby zimno? A tobie, Marto? Och, miła moja, chyba uważasz? Wiesz przecież, że trzeba. Pilnuj tylko, na Boga, żeby się nie poprzeziębiali...

Siedział w swoim fotelu. Zbierało mi się na płacz, ilekroć na niego spoglądałam, tak żałośnie schudł, tak wisiały na nim ubrania. Próbował gawędzić ze mną i dziećmi, ale rozmowa się nie kleiła. Einar, Halfred i Ingrid siedzieli ze zwieszonymi głowami na krzesłach. Mieliliśmy pić wino, a kiedy stuknęliśmy się kieliszkami, Otto ujął obie moje dłonie i cicho je ucałował.

— Dziękuję ci, moja Marto — powiedział jedynie.

Wtedy już nie wytrzymałam, rozplakałam się, a Ingrid zaraz zaczęła krzyczeć, podbiegła do mnie i schowała mi główkę na kolanach. Musiałam ją podnieść, pocieszać... Gdy spojrzałam na Ottona, siedział oparty w fotelu, z zamkniętymi oczami; drżały mu wargi.

Na szczęście na trochę przestało padać, więc dzieci można było wysłać do parku. Z okna widzieliśmy, jak cała trójka człapie brzoźową aleją.

— Szkoda ich tutaj zabierać, Marto — powiedział Otto — to dla nich żadna zabawa przyjeżdżać tutaj.

Nie odpowiedziałam.

— To dla nich żadna zabawa przyjeżdżać tutaj, mówię — powtórzył zirytowany.

Ze wszystkiego najsmutniejszy jest chyba ten gderliwy, zbolący ton, którego czasem używa. Nie znał go, kiedy był zdrowy.

— Powinniśmy byli przewidzieć to jedenaście lat temu — rzekł powoli. — Szkoda, że tak się nie stało... Bo nie siedziałabyś tu teraz z czwórka małych dzieci i wrakiem zamiast męża. Och, jak inaczej jawiła się nam wtedy przyszłość, Marto. Nie tegośmy się spodziewali. Pamiętasz... — powiedział, ściskając mi dłonie, aż zabolalo. — Dziś mija jedenaście lat... Taka byłaś przez wszystkie te lata... Marto moja, najslodsza. Bo chyba wiesz, jak bardzo cię Kocham? Tak bardzo dziękuję ci za te lata...

Znowu zaczęło padać i dzieci wróciły na górę. Było już tak późno, że przyszedł doktor z wieczorną wizytą. Kiedy mieliśmy wychodzić, Otto przywołał do siebie dzieci:

— Chyba jesteście grzeczne i słuchacie się matki, jak ojca nie ma? Cały czas jesteście grzeczne? Dzieci moje, nigdy, przenigdy nie możecie zasmucić matki! Słyszysz, Einarze? Jesteś już na tyle duży, że zapamiętasz, co mówi ci ojciec. Musisz zawsze być dobrym chłopcem, zawsze robić, co możesz, dla matki i dla rodzeństwa... Ty też, Halfredzie, chłopcze mój...

Płakali i ja płakałam. Tworzyliśmy żalony korowód, idąc drogą pod parasolami na tramwaj. Wtedy Ingrid się zmoczyła, przez co musiałam wziąć ją na ręce — inaczej nigdy nie doszlibyśmy do miasta. Z dzieckiem i parasolem w rękach, w spódnicach mokrych u dołu i z obydwoma chłopcami za mną, tupiącymi niekończącą się polną drogą w ulewnym deszczu!

Dokładnie rok temu leżałam po narodzinach maleńkiej. Otto siedział obok i mnie pocieszał — mogliśmy jeszcze kiedyś świętować złote gody. Bo chyba ani przez chwilę nie myślał inaczej, niż że prędko wydobrzeje.

Dwa lata temu byliśmy w domku letnim, jak zawsze w naszą rocznicę. Wznosiliśmy toasty szampanem, a Otto powiedział, że jest chyba najszczęśliwszym mężczyzną w Norwegii. Ja zaś siedziałam i myślałam, jak bezgranicznie jestem nieszczęśliwa, jak obcy staliśmy się sobie — o czym on nie miał zielonego pojęcia. Nie *wiedziałam* wtedy, czym naprawdę jest nieszczęście!

Za rok będę może wdową...

Choroba, Rodzina

Wspomnienia

Domek wystawiono na sprzedaż. Mam nadzieję, że nie sprzeda się zbyt prędko w tych ciężkich czasach — za życia Ottona.

Kiedy myślę o całym naszym małżeństwie, w pewnym sensie oczywistością jest, że tak właśnie się ułożyło. Z drugiej strony wydaje się to tak bezsensowne... i głupie. Cały mój smutek zlewa się w złość i gorycz, których nie mogę zwrócić ku nikomu innemu niż ku sobie. W zasadzie nie mamy w tym świecie wielkiego wyboru. Gdybym wtedy, kiedy Otto i ja zaczęliśmy się od siebie oddalać, wiedziała to, co wiem teraz, po dziś dzień byłibyśmy szczęśliwi! Mimo to, jeślibym miała ponownie przeżyć ostatnich pięć-sześć lat, będąc osobą, jaką byłam wtedy — wiem, że stałoby się tak samo.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Ottona, był drugi wrześnie. Szłam Kirkegaten⁵ w pełnym słońcu, w mojej czarnej, jedwabnej sukni i birecie z frędzlem — wraz z kilkoma osobami z tego samego rocznika miałam świętować cztery lata od ukończenia szkoły. Spotkałam Henrika, który mi towarzyszył. Ulicą śpiesznie minął nas jakiś pan, przywitał się. Ognistorude włosy, mnóstwo piegów, dostojna postać — takie odniosłam wrażenie. Zapytałam kto to.

— Och, taki jeden Oulie — mówi Henrik. — Z biura Berga i Bachego. Ścier⁶ drzewny, wiesz.

— Piękny krok — powiedziałam i się odwróciłam. Pan stał na końcu ulicy i na nas spoglądał.

— Strasznie miły, przyjemny typ — rzekł Henrik.

— Masz pozdrowienia od Ouliego — powiedział po kilku dniach. — Wygląda na to, że wywarłaś na nim duże wrażenie.

Dwa dni później zostałam zaproszona na kawę i poncz na stacji⁷ u Henrika. Kiedy tam weszłam, pierwszą ujrzałam rudą grzywę Ottona. Byliśmy tam my dwoje i jeszcze jedna kobieta.

Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i nigdy wcześniej w nikim się nie kochałam. Dużo pracowałam, byłam bardzo pilna. Ludzie uważali mnie za sztywną; byłam cicha i wycofana. Naprawdę wynikało to z nieśmiałości.

Jeśli chodzi o Ottona, natychmiast poczułam, że go przewyższam. Od razu zauważyłam bowiem, że, jak powiedział Henrik, wywarłam na Ouliem duże wrażenie; od razu także pojęłam, że to on poprosił Henrika, by mnie go przedstawił. Gdy podziękowałam za jego przywitanie, oblał się pąsem.

— Chyba się panna o to nie gniewa? — pytał po wielokroć. — Bo dobrze wiedziałem, kim panna jest. Ludzie mówią, że jest panna szalenie zdolna, że dostała najwyższą notę z matury i z filozofii na studiach.

Wieczorem odprowadził mnie do domu. Kiedym się położyła, uświadomiłam sobie, że niesamowicie dokładnie pamiętam każdy szczegół wyglądu Ottona Ouliego. Wąska, koścista twarz, rude włosy, duże, jasnobrzazowe oczy i mnóstwo ciemnych piegów; usta miał ładne, pięknie zarysowane, do tego okazałe zęby — dwa górne na przedzie nieco nachodziły na siebie. Pamiętam, jak wyraźnie przypominałam sobie jego wargi. Na jego postać zwróciłam uwagę natychmiast, gdy go ujrzałam. W rzeczywistości nigdy nie widziałam mężczyzny o tak pięknej sylwetce jak Otto — szczupłej, silnej i eleganckiej; zarówno w niej, jak i w sposobie, w jaki się poruszał, było coś tak wyszukanego, że myślałam się na jego widok o ładnym, rasowym zwierzęciu, wspaniałym psie.

Wyglądał na młodszego, niż był, bo parę miesięcy później skończył dwadzieścia sześć lat. Jednak tamtego wieczoru u Henrika, przez jego gładko ogoloną twarz, po chłopięcemu podwinięty kołnierzyk i niebieską marynarkę, myślałam, że ma najwyżej dwadzieścia dwa-trzy lata.

⁵Kirkegaten a. Kirkegata — historyczna ulica w centrum Oslo. [przypis edytorski]

⁶ścier — drewniany półprodukt, służący do wyrobu papieru. [przypis edytorski]

⁷stacja — mieszkanie wynajmowane studentom. [przypis edytorski]

Nazajutrz spotkałam go w drodze ze szkoły. Od tamtej pory widywaliśmy się codziennie. Najpierw jakby przypadkiem, później zaczęliśmy się umawiać. „Dlaczego nie miałabym spotykać się z przyjacielem?”, mówiłam sobie.

Któregoś popołudnia, kiedyśmy spacerowali, okropnie się rozpadało. Byliśmy właśnie na ulicy, przy której mieszkał.

— Może dałoby się tymczasem zaprosić pannę do mnie na górę? — zapytał z dość nieporadną miną. — Mam zresztą taki ładny pokój — powiedział, otwierając nam drzwi.

W rogu stało metalowe łóżko na wysokich nogach i blaszany stolik z miednicą. Pośrodku ściany, pod jakimś malowidłem, ustawiono pluszową sofę i stół oraz dwa fotele — jak w cukierni. W kącie wisiało lustro, przed nim stała roślina doniczkowa; w dodatku miał też pianino. Był wyjątkowo dumny ze swojego pokoju. Dłużej konferował w korytarzu ze swą gospodynią, która następnie przyniosła nam kawy i domowe wypieki. Miała na sobie fartuch obsyty koronką z Hardanger⁸ i wyglądała niezmiernie szacownie. Otto przedstawił mnie jako pannę absolwentkę Benneche.

Był strasznie uroczyście jako gospodarz. Nieco drżała mi ręka, gdym nalewała kawy. Ottonowi też, kiedy podawał mi ogień do papierosa. W lustrze ujrzałam, że policzki mam płomiennie czerwone, a włosy mocno pofalowane; to przez deszcz. Dobrze wyglądałam, a po Ottonie poznawałam, że też tak uważa.

Później skłoniłam go do śpiewu. Wiedziałam, że jest w Towarzystwie Śpiewaczym Handlowców.

— W zasadzie to nic nie umiem — rzekł, siadając przy pianinie.

Zaśpiewał „Ciekaw jestem, co ujrzę tam...”.⁹ Miał piękny tenor i śpiewał nieco sentymentalnie.

Cały czas czułam w sobie delikatne drżenie, jakby z ekscytacji. Nabrałam chęci, by chodzić i dotykać rzeczy, które na co dzień go otaczały. Mimo że tak niewiele sobie powiedzieliśmy, czułam, że bardzośmy się do siebie zbliżyli.

Wkładając przed lustrem kapelusz, ukradłam z jego rośliny liść, który schowałam w rękawicze. Otto umieścił go później w złotym medaliku dla mnie i zawsze świętowaliśmy ten dzień. Kiedy pomagał mi włożyć płaszcz, nagle zapragnęłam odchylić głowę i musnąć jego dłoń szyją. Wiedziałam, że teraz tylko ode mnie zależy, co się stanie. A potem poczułam gwałtowną, zachłanną radość, że wytrzymałam — tego dnia nie mogło wydarzyć się więcej.

Zostałam zaproszona na jego urodziny. Było tam wiele innych osób. Nie widziałam ich. Siedziałam na krześle połowym przy oknie; Otto przysunął do mnie taboret i na nim usiadł. Przesiedział tam cały wieczór — cały czas miałam przed sobą jego twarz. Nie mam pojęcia, o czym rozmawialiśmy, Otto też tego nie wiedział.

— Ależ, Oulie! — zawołał raz Henrik. — Wspaniały z ciebie gospodarz! Twoje zdrowie!

— Och, drogi mój... — powiedział Otto i podszedł do stołu.

Ja opadłam na krzesło, osłabiona jak po dłuższym napięciu — ani na chwilę nie przyszło mi do głowy, że też powinnam wnieść z nimi toast.

Chwilę później znowu siedział na taborecie. Miałam wrażenie, jakby powietrze między naszymi twarzami drgało niczym wokół płomienia.

Gdy wychodziliśmy, umówiliśmy się na sanki.

Otto chciał wciągać mnie na sankach na wszystkie górki. Siedziałam z poczuciem ciężkiego zatracenia, wpatrując się w jego ramiona. „Jaki on silny”, pomyślałam i nagle przeszedł mnie rozkoszny dreszcz. Ostatnie miesiące spędziłam w stanie nieprzerwanej, drażniącej ekscytacji. Jednak dopiero w tamtej chwili uświadomiłam sobie, jak mocno

⁸Hardanger — historyczna kraina na zachodzie Norwegii, słynąca z tradycyjnego, geometrycznego haftu. [przypis edytorski]

⁹Ciekaw jestem, co ujrzę tam... — fragment norweskiej pieśni *Over de høje fjelde* (*Nad wysokimi górami*) z tekstem Bjørnstjerne Bjørnsona (1832–1910) i muzyką Mortena Eskesena (1826–1913); modyfikacja w przekładzie wprowadzona została dla zachowania liczby zgłosek zgodnej z oryginalnym wersem. [przypis edytorski]

go kocham — co tak bardzo mnie przytłoczyło, że natychmiast ogarnęła mnie zupełna niemoc; czułam lęk, zawstydylenie, dumę i radość zarazem.

Tęgo wieczoru w sali kominkowej było mnóstwo ludzi, powietrze wisiało gęste od tytoniowego dymu i wyziewów z kuchni, rozmawiano ogłuszająco głośno; wszystko to jednak zdawało się być gdzieś daleko. Otto usiadł naprzeciwko mnie. Rozpiął sportową kurtkę; pod spodem miał niebieską flanelową koszulę z miękkim kołnierzykiem. Był zgrzany, nieco zdyszany. A ja, jakbym się wystraszyła, nie śmiałam spoglądać na skrawek jego klatki piersiowej poniżej gardła, ale nie mogłam powstrzymać ukradkowego zerknięcia — wtedy na mnie spojrział... Żadne z nas nie spuściło wzroku ani nie wypowiedziało słowa.

— Na zdrowie, Marto — powiedziała któraś z kobiet.

— Och, przepraszam... — odparłam skonsternowana i się zaczerwieniłam.

Kiedyśmy wyszli, Otto rzekł dziwnie grubym głosem (nie odzywał się do mnie, odkąd przyszedliśmy z miasta):

— Proszę usiąść, pociągnę panią.

Dotarliśmy do Frognerstøseter¹⁰, gdzie usiadł za mną na sankach. Opierając się o niego, czułam się, jakbym mu się w pełni oddawała.

Z resztą towarzystwa rozstaliśmy się przy Sporveisgaten¹¹.

— Odprowadzają pannę Benneche do domu — powiedział wtedy.

Dotarliśmy do moich drzwi od ulicy, tam wstałam z sanek. Nie miałam klucza.

— Mój może da radę... — powiedział niewyraźnie. Otworzył.

— Dobrej nocy!

— Dobrej nocy!

Wszedł do środka. I nagle chwycił mnie w ramiona i pocałował. Nigdy wcześniej nie całowałam mężczyzny. Czułam się, jakbym zniknęła.

Kiedym weszła na górę, długo siedziałam na skraju łóżka w mokrym stroju narciarskim. Jak odurzona wyczuwałam jedynie bicie własnego serca, które wzbudzało we mnie silne, klujące napady drżenia. Boże w niebiesiech, że też spotkało mnie takie szczęście. Zbudziłam się na dźwięk zegara gospodarzy, który wybijał czwartą. Gdy się rozbierałam, parę razy przelała się przeze mnie fala gorąca i lęku. Co, jeśli on nie kocha ciebie w ten sposób? Jeżeli to tylko namiętność? — słowa i myśli innych ludzi pojawiły się na sekundę; prędko jednak zniknęły, pozbawione dla mnie sensu, a ja zapadłam się w odurzenie szczęściem.

Następnego ranka, kiedy wyszłam na ulicę z książkami i zeszytami pod pachą, Otto Oulie stał na rogu. Spojrzął mi głęboko w oczy, wziął zeszyty z wypracowaniami i rzekł:

— Pomyśleć, że chcesz być moją sympatią, Marto!

Roześmiałam się do rozpuku.

— No właśnie, pomyślałby kto!

Później zwierzył mi się, że strasznie długo zastanawiał się, co mi powiedzieć.

— Po powrocie do domu byłem przerażony, bo przecież nic nie powiedziałem!

O drugiej spotkał się ze mną znowu. Następnego dnia natrafiliśmy na Henrika na Pilestredet¹². Otto popędził do niego.

— Musisz nam pogratulować, staruszku!

Spacerowaliśmy codziennie po szkole, a wieczorami przychodziłam po Ottona do biura. Uzgodniliśmy, że w wakacje się pobierzemy. Otto zarabiał tysiąc osiemset koron, a ja miałam dalej być nauczycielką. Miało być znakomicie.

Zostałam wzięta z zaskoczenia. Ale w zasadzie nie przez Ottona. Pewne źródła wybiły spod powierzchni mojej istoty. Siedziałam, bez reszty zasluchana w tę nową muzykę — w długie wieczory, gdy życzyliśmy już sobie dobrej nocy, a ja, po powrocie do siebie, siedziałam cicho, słuchając.

¹⁰Frognerstøseter — zabytkowe, drewniane schronisko turystyczne na szczycie Holmenkollen położonym nad Oslo, z widokiem na miasto i fiordy. [przypis edytorski]

¹¹Sporveisgaten a. Sporveisgata — historyczna ulica w Oslo. [przypis edytorski]

¹²Pilestredet — jedna z najdłuższych ulic w centrum Oslo. [przypis edytorski]

Dzielące nas różnice odbierałam wówczas z radością; trwałam ogarnięta wiecznym, pełnym zachwytu zaskoczeniem, że my, tak bardzo różni, odnaleźliśmy siebie nawzajem.

Nauczyciel rysunku z naszej szkoły był zaręczony z koleżanką, z którą zdawałam maturę. Ta odwiedzała mnie na stacji i zamęczała rozmowami o miłości.

— Ależ czy to nie cudowne? Och! Mieć kogoś, kto w pełni cię rozumie. Z kim można porozmawiać o wszystkim, po prostu *wszystkim!*

Razem chodzili po Kirkeveien¹³ i rozmawiali o... po prostu wszystkim.

— Wiesz co, Marto, moim zdaniem poufałość jest niezbędna, jeżeli miłość ma być czymś *idealnym*. Bez prawdziwego pokrewieństwa dusz, powiedz mi, co z tego wszystkiego zostaje?

— *L'amour sans phrase*¹⁴ — powiedziałam i zaśmiałam się z dumą.

— Ja nazywam to zwykłą namiętnością. To rzecz całkowicie zwierzęca. Och, wybacź!

— Proszę cię! — powiedziałam i jeszcze bardziej się zaśmiałam.

„*L'amour sans phrase*”, powtarzałam sobie w kółko, gdy byłam sama.

Miłość, miłość, nie ma w życiu niczego innego, co byłoby jego warte. Kochałam tak fanatycznie, że nigdy nie potrafiłam zanurzyć się dość głęboko w miłość własną.

Czułam też, jak miłość ta z każdym dniem czyni mnie piękną, świeżą i promieniącą — dawała mi niepojęte zrozumienie życia, czyniła odważną, wesołą i nieskończenie arogancką.

Ach, było ze mnie przemądrzałe dziecko, aż do teraz — gdy nagle odmłodziłam.

Wszystko, co przeczytałam, czego się nauczyłam, nadal mnie cieszyło, ale czułam też, że były to tylko środki, nie cel. Były bronią, którą dobrze posiadać, aby dać sobie w życiu radę — miłość jednak była samym życiem.

Czułam się wtedy tak zdrowa, że nigdy nie wątpiłam w miłość własną oraz Ottona ani że to wystarczy. Potrzebowałam kogoś kochać i być kochaną — nigdy nie chodziło mi o mężczyznę, który by mnie „rozumiał”. Och, jakże miałam rację, gardząc prostym, niewychowanym, babskim gadaniem o „rozumieniu” — im zależy, aby mężczyzna był zegarmistrzem ich nudnych, zdziwaczałych główek, trwoniącym czas na pieszczenie się z ich próżnością.

Ach my, niezrozumiane kobiety — mogłybyśmy pokonać cały pułk mężczyzn, a i tak by to nie pomogło. Dopiero gdy serce zaczyna usychać, kiedy same już nie rozumiemy, zaczynamy wołać o zrozumienie.

Wtedy rozumiałam Ottona; sama nie zdawałam sobie sprawy, jak wyraźnie się przede mną jawił dokładnie taki, jakim był. Nie żądałam od niego niczego, czego nie mógłby mi dać — nie dorastał w domu anemicznych moli książkowych, nie mieszkał wśród mahoniowych mebli i haftów koralikowych ciotki Guletty. Jego ojciec handlował drewnem i on był przedsiębiorcą — i to całym sercem i duszą. Był także sportowcem i miłośnikiem ruchu na świeżym powietrzu; jak u siebie czuł się tam, gdzie ja rozkoszowałam się nastrojem i oświetleniem — w naszym lesie. Rześkie powietrze i słońce, przedostające się do mnie, kiedy siedziałam zajęta lekturą, sprawiały, że ciskałam książki w kąty i wybiegałam na jasny świat.

Chyba żaden mężczyzna nie obchodził się ostrożniej i lepiej z miłą swemu sercu młodą dziewczyną niż Otto — i to w samym środku naszego niepohamowanego zakochania. Był też taki przez wszystkie lata, któreśmy przeżyli razem.

Gdyby przypuszczał, że czułam, iż mnie nie rozumie, wiem, że uczciwie, rzetelnie spróbowałby wyjść mi naprzeciw — takim do cna sumiennym człowiekiem jest Otto. Ale gdy nie zrobił zupełnie nic, by mnie powstrzymać, wprost przeciwnie, za znakomite miał wszystko, czym się zajmowałam — sprawę kobiecą, szerzenie oświaty i tym podobne — oczywiście uważał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Podziwiał moją „wybitną inteligencję”, chociaż stale podziwiał wszystko, co kocha: dzieci i mnie, Henrika, swoich

¹³ Kirkeveien — część obwodnicy Ring 2 w Oslo. [przypis edytorski]

¹⁴ *L'amour sans phrase* (fr.) — na polski można to wyrażenie przetłumaczyć jako „miłość bez słów”. Warto zwrócić przy tym uwagę, że istnieją z tekstu o tytule *L'amour sans phrases*: Richarda O'Monroya (1849–1916) z 1905 roku oraz wydany w 1884, którego autorem jest Albert François Clément Le Roy (1856–1905). Undset mogła je czytać, bo zostały opublikowane wcześniej niż *Pani Marta Oulie*, być może jest to zatem z jej strony jakaś zawołowana gra literacka. [przypis edytorski]

rodziców oraz rodzeństwo, swój dom, ogród i domek letni — wszystko, co ma na tym świecie.

Z czasem zaczął mnie drażnić ten jego wieczny, bezkrytyczny podziw wobec wszystkiego, co doń należało; lecz wtedy jeszcze miałam rację, widząc tylko, jaki piękny jest w swojej ożywczej ufności i radości.

Nieistotne, że wielokrotnie, gdy nie rozumiał, wydawał osądy surowe i ograniczone. Był zdrowy i silny, a wtedy często widzi się tylko to, co na powierzchni — i nie rozumie się. Sama osądzam teraz wiele rzeczy łagodnie — ale dlatego, że jestem współwinna. Gdy byłam młoda i czysta, osądzałam surowiej.

Człowiek uczy się całe życie; ale, Boże dopomóż, czego też się uczymy. Rozumienie wszystkiego powinno równać się wybaczeniu wszystkiego. Niech Bóg jednak strzeże mnie przed ludźmi, którzy wybaczą za wiele. Wszak tylko tym się pocieszamy, gdy życie zacznie odciskać na nas swe piętno, a zrobiliśmy różne rzeczy, których wstydzilibyśmy się w lepszych czasach. Albo nie mamy odwagi i energii, aby żyć w zgodzie z własnym duchem. Wtedy obniżamy wymagania — choć ostatecznie jednak dostaje się w życiu tyle, ile się wymaga. Młodzi są jednostronni; dla nich do zbawienia prowadzi tylko jedna droga, a jeśli się do czegoś nadają, to właśnie nią idą. Później dostrzega się wiele innych dróg. Człowiek myśli, że każda może być równie dobra — siada wtedy i każdą uznaje za jednakową. Łatwo jest zrzucić winę na tolerancję i zrozumienie, kiedy nie chce się nam już nic robić z życiem; jednak to jednostronność i zawziętość pozwalają coś osiągnąć. I to młodzież chce czegoś naprawdę.

20 lipca 1902

Dziś po raz pierwszy wysłałam chłopców z domu; mają spędzić miesiąc u ciotki Heleny. Tacy byli śliczni w swoich nowych, niebieskich, tweedowych kurtkach z kieszeniami, które dla nich uszyłam.

Odprowadziwszy ich na pociąg, pojechaliśmy z Ingrid do Ottona. Musiałam pokazać mu małą — była przecudna! Trzeba było ją trochę pocieszać, bo nie wyjechała z braćmi, dlatego mogła włożyć sukienkę w różę i wpleść czerwone wstążki w te swoje lśniąco, miedziane loki. Aż chciałoby się ją schrupać, tak jasną ma cerę — nie można przestać, gdy zacznie się już całować jej białą szyjkę, schowaną w jasnoczerwonym wycięciu sukienki. I jeszcze te usta, i duże, jasnobrązowe oczy.

Latała wokół nas, kiedy Otto i ja rozmawialiśmy na ławce w parku. Był dzisiaj w wyjątkowej formie.

Nigdy wcześniej roztaczający się stamtąd widok nie wydawał mi się tak piękny jak dziś. Może to przez słońce — w takie żalosne lato z bezustannym deszczem i zdrowy człowiek by się rozchorował. Rozległe, zielone wzgórza schodzące do fiordu i miasto w dole, niskie obramowanie pagórków, które osłaniają i otaczają, wszystko jednak na tyle przestronne, że nie czuć tutaj zamknięcia — fiord był dzisiaj jasny jak srebro, nad całością unosił się też cienki woal pary wodnej.

Kiedy Otto i ja siedzieliśmy tak i kiedy objął mnie ramieniem, oboje odpłynęliśmy w łagodne i ulotne, melancholijne uczucie szczęścia.

— Nie mogę przestać wierzyć, że pozostaniemy razem — powiedział Otto. — Widzę przecież, jak z każdym dniem zdrowieję. Ty, ja i dzieci, Marto!

Pomyślałam to samo. Mam przecież męża i dzieci; czekają mnie wszak jeszcze nieskończone szczęście i bogactwo. Pewnie nadejdą też dla nas trudne czasy, kiedy Otto wróci do zdrowia — ale co z tego. Uważam, że muszę mieć szczęście, skoro mogę pracować i posiadam zajęcie — oraz wiem, że *mogę* pracować dla moich najdroższych. Jak daleko od nich kiedyś się oddaliłam, o tym nigdy się nie dowiedzą — sama myślę, że wspomnienie mej błędnej wyprawy przez pusty, beznadziejny krajobraz oraz wstydu, który na siebie sprowadziłam, z czasem zniknie i opadnie na dno mojej duszy. Czegoś mnie to nauczyło — z nieskończoną ostrożnością będę chroniła każdą szansę na ciepło i szczęście w naszym domu. Nie na próżno zapłaciłam za tę lekcję najwyższą cenę. Bo czystość kobiety to żaden frazes, to nieskończone cenny skarb — dziś to wiem. Ale może będę teraz dawać innym więcej niż mogłam wcześniej, prędzej reagować na każde drobne poruszenie w ich duszach — zwłaszcza dzieci.

Konflikt wewnętrzny,
Kondycja ludzka

Dziecko, Piękno

Rodzina, Szczęście, Kobieta,
Pozycja społeczna

Jako młoda dziewczyna zawsze uważałam, że macierzyństwo musi być czymś najważniejszym na świecie. „Jakie to dziwne”, myślałam, „że kiedy mnie samej miało się ono przydarzyć, prawie nie dawałam temu wiary”. Spodziewając się Einara, byłam tym tak przytłoczona, że niemal się wstydziłam, bo naprawdę czułam, jakby nie istniało nic innego na świecie — dziecko, które nosiłam, wypełniało mi myśli dzień i noc, a przecież postanowiłam traktować to niezmiernie rozsądnie i naturalnie. Boże, dzieliłam stan wszystkich przedstawicielek płci żeńskiej na świecie. Choć miałam też wiele obaw, pragnęłam tego każdą cząsteczką siebie — choćbym i miała zginąć.

Ale chociaż kocham swe dzieci tak mocno, jak kochać może tylko matka, i choć uważam, że kochałam je też bardzo po ludzku i obserwowałam najdrobniejsze przejawy rozwoju w ich życiu, tyle szczegółów Otto zauważył przede mną — drobnych cech, właściwych każdemu z nich, na które to on zwrócił moją uwagę. Miałam też inne zainteresowania niż moje dzieci; czuję jednak z niezbitą pewnością, że ani na trochę nie zmniejszyło to mojej troski o nie — dopóki nie zaczęłam zatracać się w sobie i zastanawiać się, czego brakło mojemu szczęściu. I jeszcze mnie kochają, chyba bardziej niż większość dzieci kocha swoich rodziców. A jednak ich relacja z Ottonem jest jakby bardziej bezpośrednia. Może dlatego, że on sam jest bardziej bezpośredni.

Są też do niego podobne. Einar tak mocno, że to aż komiczne. Również osobowością — widziałam tę jego energię wczoraj i dziś; sam chciał spakować rzeczy swoje i Halfreda, a kiedy włożył bilety, portmonetkę, chustkę i kłódki do różnych kieszeni oraz powtórzył moją instrukcję, jak zachować się podczas przesiadki w Hamar¹⁵, był to doprawdy mały Otto.

Halfred przypomina go mniej — nie ma też rudych włosów.

— To twoje dziecko — mówi Otto. — Tyle rozmyśla nad istotą rzeczy.

— W każdym razie strasznie jest dociekliwy. Pyta często o najbardziej osobliwe sprawy, zawsze musi wiedzieć: „Ale dlaczego?”. Kiedy mówię, żeby tyle nie pytał, odpowiada tylko: „Ale dlaczego nie, mamo?”.

Åse też przypomina Ottona. Co napawa mnie grozą. Czytałam coś podobnego w jakiejś francuskiej powieści, lecz nie wierzyłam, że to możliwe.

21 lipca 1902

Wczesnie rano pojechałam do Ottona. Zeszliśmy do parku i usiedliśmy na tej samej ławce co wczoraj. A kiedyśmy tak sobie siedzieli, przyszedł Henrik.

Miał rozmawiać z Ottonem o interesach. Chciałam pójść, lecz oczywiście nie pozwolił mi Otto. Nalegał, żebym została, aby Henrik mógł odprowadzić mnie do miasta.

Wszyscy troje szliśmy więc ścieżką przez ogród i rozmawialiśmy. Otto wziął mnie pod rękę, Henrik z drugiej strony. Otto był wesół i mówił głośno; narzekał między innymi, że bardzo przytył. „A Marta tak wzdycha do szczupłych ludzi; może nie chcesz mnie już znać, co?”.

Nie mogę przestać wściekać się na to, że Henrik potrafi zachować aż takie opanowanie. Że może tak naturalnie rozmawiać o mnie z Ottonem.

Jestem teraz mniej więcej tak samo nieszczęśliwa jak przedtem. Udało mi się odnaleźć cichą, radosną nadzieję, odkąd jęłam zagłębiać się we wspomnienia naszej miłości. Zaczęłam wierzyć w przyszłość. Ale wtedy zjawia się Henrik. I pozostanie na zawsze. Nie wyobrażam sobie, jak miałyby się go unikać.

22 lipca 1902

Otto nie postrzegał wtedy naszego związku tak samo jak ja. Mnie chodziło jedynie o erotykę, ale dla niego było to też ogromnie poważne zobowiązanie.

¹⁵Hamar — norweskie miasto i gmina w regionie Innlandet. [przypis edytorski]

Chyba nigdy nie przyszło mi do głowy, aby powiedzieć mu o tym, jak żyłam, zanim go spotkałam, co uważałam i co myślałam. Kiedy zdarzało się nam o ten temat zahaczyć, zawsze zaczynał Otto.

— Marto — powiedział któregoś dnia — nie jestem religijny, w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Pamiętam, że była niedziela na początku marca, byliśmy na nartach w lasach Nordmarka¹⁶. Pełne słońce i las ciężki od śniegu; przed nam widniała niewielka, biała równina — mokradło poprzecinane śladami nart; w cieniu śnieg był wręcz fioletowy. Odpoczywaliśmy, siedząc i jedząc pomarańcze. Po drugiej stronie pod lodem szumiał strumyk, drzewa wokół były mocno oszronione; niektóre zamrzły, tworząc grube, przezroczyste bryły lodu. Pokazałam właśnie Ottonowi takie zamrożone drzewko i zapytałam, czy myśli, że kiedykolwiek wypuści pędy — i o tym toczyła się rozmowa.

„Nie jestem religijny, w ścisłym tego słowa znaczeniu” to zresztą znakomite wyrażenie. Wyjaśnił mi, w co wierzył, a w co nie — pełnym zapału tonem, jakby spodziewał się sprzeciwu. Nie widział sensu w tym, że duchowni wymagają wiary od innych, że wystarczy wierzyć we wszystko, co napisano w *Biblii*, by doznać zbawienia, a kiedy człowiek korzystał ze zdrowego rozsądku, czekało go potępienie. Nie rozumiał na przykład wiary w szatana, który pełza po jabłonkach i kusi ludzi, by krałli; albo że Bóg powiedział Noemu¹⁷, jak ma zbudować i wysmołować swą arkę.

To jego zdrowy rozsądek się w nim zbuntował; Otto nie chciał bezkrytycznie wierzyć w to, czego uczyli go inni. Krytykował dość ostro. Nie pomyślał jednak, by spojrzeć na chrześcijaństwo jako religię jak wszystkie inne. Na koniec powiedział:

— Ale wierzę w Boga, wiesz.

— A ja nie — odparłam.

I jęłam rozprawiać o tym, w co wierzyłam, a w co nie. Na pewno nie w Boga w ludzkiej postaci — „świat jest na to zbyt niesprawiedliwy”.

— Sam o tym często myślę — powiedział Otto. Leżał na boku w śniegu i podniósł na mnie wzrok, niemal przestraszony.

— Świat jest zbyt wielki, Otto, a my jesteśmy zbyt mali. Życie nas nie uwzględni.

— W życie wieczne też nie wierzysz? — zapytał Otto powoli.

— Nie.

Wieczorem, kiedy jak zwykle zakończyliśmy tę narciarską wycieczkę herbatą, którą Otto pił na górze w moim pokoju, znów podjął ten temat. I został u mnie dużo dłużej, niż miał w zwyczaju — on, który poza tym zawsze starał się wychodzić w „odpowiednim” czasie. Na odchodne powiedział:

— W zasadzie niezbyt to chyba dobre, że wiesz znacznie więcej niż ja, Marto!

Trochę było mi wstyd, kiedy poszedł. Możliwe bowiem, że w ogóle byśmy na ten temat nie porozmawiali — może dopiero po ślubie. Częściowo wynikało to z tego, iż w pewnym sensie nie doceniałam Ottona — z wyższością przedstawicielki klasy urzędniczej nad chłopakiem ze wsi. Rozpoznawałam to też nieco w relacji Henrika i Ottona; w wielu kwestiach tylko mój kuzyn był upoważniony do wyrażania opinii i dość wyraźnie zbywał Ottona, gdy ten się wypowiadał. Teraz nagle poczułam z tego powodu złość — nie mieliśmy do tego prawa, ani on, ani ja. Och, ten głupi, studencki snobizm, myślenie, że Otto jest „tylko” przedsiębiorcą. W duchu używałam tego wyrażenia — na wstępie do moich zachwyty nad znakomitym, cudownym miłośnikiem ruchu na świeżym powietrzu, nad atletą. Ale tamtego wieczoru się zawstydziałam, ponieważ nigdy nie interesowało mnie, by poznać jego myśli.

Raz, później, odczułam to jeszcze mocniej.

Było to niedługo przed naszym ślubem. Siedzieliśmy w mieszkaniu. Pamiętam, że Otto urządzał właśnie „turecki kącik” — z niską, przytwierdzaną do ściany ławą i stolikiem. Mieliśmy pijać tam kawę; na ścianach miały wisieć makaty.

— Ma być niebieski — powiedział Otto — intensywnie chabrowy... Do tego mnóstwo niebieskich poduszek we wszelkich odcieniach. Niebieski pasuje ci najlepiej.

Po południu spał deszcz, ale wtedy, pod wieczór, powietrze było wilgotne i ciepłe

Wiara, Religia, Obraz
świata

Pozycja społeczna

Zapach

¹⁶Nordmarka — zalesiony obszar w płn. części Oslo. [przypis edytorski]

¹⁷Noe — bohater biblijny, patriarcha, człowiek prawy i sprawiedliwy. [przypis edytorski]

jak w szklarni, nasycone wonią kwiatów. Nad całym miastem unosił się zapach kasztanów i bzów, a gdy wspinaliśmy się Kirkeveien, woń była wręcz przytłaczająca; gorzki aromat brzoźowych liści i zapach kwiatowych ogrodów. Wyraźnie rozpoznawałam ładną woń piwonii, przywodzącą na myśl japońskie wyroby z drewna, najbardziej jednak czuć było kasztany i bzy. Pamiętam, że zwróciłam uwagę, jak cudnie jasnofioletowe bzy wyglądały na tle ciężkich, siwych chmur, sunących na wschodzie.

Myślę, że świat był tego wieczoru piękniejszy, niż widziałam go kiedykolwiek później. Podeszliśmy do wzgórza naprzeciwko plebanii Vestre Aker¹⁸ — w popołudniowym słońcu wszystko się złociło: drobinki chmur na niebieskim niebie, komary nad strumieniem i topole wzdłuż drogi. Wilgoć iskrzyła się w słońcu, na łące i w koronach drzew, z których kapwały połyskujące krople, i na starych, niebieskich dachówkach plebanii. Nad płotem otaczającym ogród wisiały białe bzy, a kable telefoniczne ciągnęły się całkiem złote jak struny wielkiej złotej harfy.

Weszliśmy do zagajnika naprzeciwko plebanii. Zawsze było to jedno z moich ulubionych miejsc — niewielki lasek z murowanym nagrobkiem Blinderena¹⁹ na wzniesieniu. Myślałam wtedy, że okragły, kamienny postument wygląda jak ruiny zamku, a w ładnej trawie pod liściastymi drzewami rósł kruchy, bladozielony piżmiaczek²⁰.

Usiedliśmy na kamieniu, gdzie do nagrobka prowadzi swego rodzaju zarośnięta trawa aleja.

Otto całe popołudnie się nie odzywał. A siedząc tam z łokciami na kolanach i głową w dłoniach, po dłuższym czasie wspólnego milczenia powoli rzekł:

— Wiesz... jest jedna sprawa. Uważam... Wiem, że mam obowiązek ci to powiedzieć.

Na chwilę przerwał, po czym podjął:

— Ja... nie jestem... ja... znalazłem wcześniej w ten sposób... inne kobiety. I pewnie uważasz, że to straszne... Widzę to po tobie — dodał po krótkiej chwili. — Wiem, że na pewno tak uważasz. Nie potrafiłem zmusić się, żeby powiedzieć ci to wcześniej... Oczywiście mnie nie zrozumiesz, a ja nie potrafię wyjaśnić... Nie żebym szukał usprawiedliwienia...

Chciałam mówić, lecz on mi przerwał:

— Ale nie w ostatnich paru latach. Odkąd zmarła moja siostra... wiesz, pani Jensen. Była tak okropnie nieszczęśliwa w małżeństwie. Wtedy coś sobie obiecałem. Ale wcześniej... Nie zrozumiesz tego... Gdy jest się młodszym, nie jest tak...

— Otto, nie mów nic więcej!

— Aż *tak* to dla ciebie okropne? — Wstał.

Wtedy też wstałam. Czułam jedynie konsternację i wstyd, a na początku, kiedy zaczął, potworne zdumienie; doprawdy było to coś, o czym nigdy nie pomyślałam. To znaczy, odkąd się zaręczyłam — bo rok czy dwa lata temu pewnie bym dyskutowała, do czego powinien przyznać się mężczyzna i tak dalej. Wtedy z lubością oddawałam się dyskusjom — i stawiałabym wymagania. Ale kiedy tak mówił, a ja widziałam, że cierpi i że to dla niego strasznie poważna sprawa, czułam tak wielki wstyd i upokorzenie, że nie śmiałam wręcz podnieść wzroku. Nigdy, przenigdy się nim nie przejmowałam, chciałam jedynie, by mnie miał za uroczą, by mnie całował i pieścił, chciałam kłaść dłonie na jego szerokich, mocnych barkach — nigdy jednak nie poszukiwałam jego duszy, aby być dla niej dobrą, aby ją kochać.

— Nie, nie, Otto, nic już nie mów. Mój drogi, jakim prawem miałabym czegoś takiego od ciebie wymagać. Sama nigdy nie zamierzałam rozliczać się przed tobą za błędy, które popełniłam albo popełniam, za brzydkie, złe, małostkowe myśli i uczynki. Nie pomyślałam nawet, że powinnam się poprawić, skoro mamy się pobrać.

— Marto... och, Marto...

— Powiedz mi wszystko, co *chcesz* mi powiedzieć... Wiem, że zdołam cię zrozumieć... teraz. *Proszę* cię, powiedz mi wszystko, czym chciałbyś się podzielić z kimś innym, o czym chciałbyś z kimś innym porozmawiać. Nie wymagam jednak, by o czymkolwiek wiedzieć. Nie uważam też, że mam prawo o coś cię pytać. Bo przecież wiemy, że możemy na sobie polegać i że strasznie, straszliwie się kochamy, prawda?

¹⁸Vestre Aker — dawniej osobna gmina, a obecnie dzielnica Oslo. [przypis edytorski]

¹⁹Blinderen, Halvor (1733–1804) — norweski rolnik, znany z postępowej uprawy roślin. [przypis edytorski]

²⁰piżmiaczek — właśc. piżmian, gatunek rośliny jadalnej. [przypis edytorski]

— Och, słów mi brak, by wyrazić, jak bardzo cię Kocham... że tak do tego podchodzisz!

Wtedy zbliżyliśmy się do siebie i szliśmy starą, mokrą aleją, gdzie przez cały ten czas kapąły i mrugały krople, ja zaś byłam niewypowiedzianie szczęśliwa, ale trochę też się wstydziłam, że miał mnie za aż tak wspaniałą.

— Tak, kiedy już będziemy po ślubie — powiedział Otto, a potem całowaliśmy się do utraty tchu. A w drodze do domu ogarnęło mnie zabarwione poczuciem wyższości współczucie wobec wszystkich innych, spotykanych przez nas par.

Ojciec i szwagier Ottona przyszli na ślub. Mój teść nie był zadowolony z tego, jak wszystko załatwiliśmy — chciał, żebyśmy pojechali do Løten²¹ i tam się pobrali, skoro moi rodzice nie żyli. W Wielkanoc odwiedziliśmy Auli²², ale nie było tam nazbyt przyjemnie. I choć wszyscy przyjaźnie mnie traktowali, zrozumiałam, że woleliby, aby Otto znalazł sobie dziewczynę z majątkiem, i że byłam dla nich zbyt „elegancka” — chociaż Bóg wie, jak cicho i skromnie starałam się zachowywać. Ale Otto był taki kochany i tak troszczył się, żebym niczego nie zauważyła, że mimo to cieszyłam się z tego wyjazdu, a moja szwagierka Helene to przecież sama słodycz.

Ślub mieliśmy cywilny, później wyprawiłam obiad w Grand Hotelu²³ — załatwiły go dwie moje przyjaciółki i niezwykle się udał, więc teść i Tomas Nordås byli w wyjątkowo dobrym nastroju, zanim Otto i ja rozeszliśmy się do siebie.

Kiedy dotarłam do mojego pokoju, żeby zdjąć elegancki niebieski kostium i lakierki, moja gospodyni zaczęła już tam sprzątać. Bieliznę pościelową zdjęto z łóżka, a obrus leżał złożony w rogu stołu; moje rzeczy osobiste ustawiono na stercie w kącie, wieczorem miały zostać zabrane do mieszkania.

Przebierając się, uroniłam kilka łez z jakiegoś sentymentalnego wzruszenia. Wtedy wszedł Otto, a ja stałam właśnie i zapinałam haftki bluzki; zapomniał zapukać.

— Och, przepraszam... Chyba musisz się trochę pospieszyć, jest już prawie czwarta.

Zaczął pakować mój myśliwski plecak, wyjmował z niego rzeczy i przekładał do swojego. Nagle chwycił jakąś część bielizny i zobaczyłam, jak się zarumienił.

— Zabrałaś chyba dość pończoch? — zapytał, zapinając plecak.

Potem, w promiennym słońcu, szliśmy żwawym krokiem w górę Maridalsveien²⁴. Sprzedawca Ottona, Helgesen z Sandakerveien²⁵, miał zawieźć nas do Nittedal²⁶.

Coś wiejskiego i odświeżającego, kojarzącego się z dobrymi dniami mego dzieciństwa, było w rozległym podwórzu Helgesena, otoczonym stajniami i magazynami, z pompą pośrodku i gołębiami na dachu.

— Prawie nie mógł żem się już pana doczekać — odezwał się Helgesen. — A czy to pańska żona, Oulie? Niska, ale ładna, trzeba powiedzieć — dodał i pogratulował mi potężnym uściskiem dłoni.

W drodze Otto rozmawiał trochę z Helgesenem o ludziach z Nittedal i Maridalen²⁷, których nie znałam. Wszystko brzmiało tak spokojnie i przyjemnie — miasto zdawało się tak odległe, nieprawdopodobne. W gospodarstwach wokół jeziora Maridalsvannet²⁸ leżało siano zebrane w kopy; gdzieś tam zwożono, a gdzie indziej ledwie zaczęto kosić żyto — zza jeziora dochodziło dzwonięcie kosiarki, Otto i Helgesen zaś z zapalem i powagą rozmawiali o widokach na ten rok. Kiedy wjechaliśmy do lasu, Otto chwycił i ścisnął moją dłoń, ale żadne z nas się nie odezwało.

— No, to przyjemności wam życzę. Najlepszego, Oulie, i najlepszego dla pani!

Wysadzając nas, Helgesen posłał nam do przesady promienny uśmiech.

Podróż, Ślub

²¹Løten — norweska gmina położona w Innlandet. [przypis edytorski]

²²Auli a. Aulifjellet — niewielka osada w norweskim okręgu Akershus. [przypis edytorski]

²³Grand Hotel — prawdopodobnie chodzi o XIX-wieczny Grand Hotel w Oslo, znany jako miejsce, w którym co roku odbywa się uroczystość przyznania Pokojowej Nagrody Nobla. [przypis edytorski]

²⁴Maridalsveien — historyczna ulica w Oslo. [przypis edytorski]

²⁵Sandakerveien — historyczna ulica w Oslo. [przypis edytorski]

²⁶Nittedal — gmina w obrębie Oslo. [przypis edytorski]

²⁷Maridalen — rolnicza dolina w płn. części Oslo. [przypis edytorski]

²⁸Maridalsvannet — największe jezioro w Oslo. [przypis edytorski]

Nie mówiliśmy wiele, idąc leśną ścieżką. Otto parę razy się za mną oglądał, pytał, czy nie idziemy za szybko, rzucił też czasem jakąś uwagę o tym, że wiatr powalił wyjątkowo dużo drzew — ścieżka często była całkiem zagrodzona — i o tym, jak grząskie są teraz mokradła. Raz nazbierał garść białych kukulek i wręczył mi kwiaty:

— Czyż nie są ładne? Przypnij je sobie do piersi, będą tam dobrze wyglądać.

Było dość późno, a słońce nad brzegiem wzgórza roztaczało złoty blask. Czasami jakiś promień omiótł ścieżkę, po której szliśmy — na dnie wąwozu, wzdłuż wzburzonej rzeki, słońce migotało w przyskajających kropelkach piany, na mokrych brzożach i krzewach olchy. Rosło tam mnóstwo dorodnych dzwonków i tojadów.

— Och, jakie wspaniałe — powiedziałam, a Otto się odwrócił.

— Podobają ci się? Tak, piękne są. Dużo ich zaraz przy domku. Cóż... — ciągnął Otto. — Śliczne to rzeczy... I kładkę też zmyło.

Dotarliśmy do niedużego wodospadu; rzeka była tam szeroka i głęboka, a za mostek służyła tylko pojedyncza, okrągła kłoda.

— Podaj mi rękę — powiedział Otto. — Ależ droga, słodka Marto... co się stało?

Serce biło mi tak, że aż cała się trzęsłam, czułam też, że jestem błada na twarzy. Dłoń miałam lodowatą.

— Ależ... droga moja, boisz się? — szepnął Otto.

Założyłam mu ręce na szyję i schowałam twarz. Nie był to lęk — raczej rodzaj napięcia w ciele. Nagle, gdy stopa wpadła mi do dziury w mokradle, a woda wlała się do trzewika, całą mnie aż zmroziło — skóra ściągnęła się i nagle poczułam się w ubraniach naga.

— Zaraz będziemy na miejscu — szepnął znów Otto. — To już na tym wzgórzu.

Było stromo.

— No... — powiedział Otto; zatrzymał się i wypuścił powietrze.

Poniżej, w oddali, widniało duże, połyskliwe jezioro. A nieco dalej, na niewielkim wypalenisku, w wieczornym słońcu, ukazała się nieduża, szara chatka. Podeszliśmy do płotu z poziomych żerdzi, a Otto odłożył kije.

— No to jesteśmy w domu — powiedział Otto i mnie objął.

Pocałował mnie, a ja czułam, że pocałunek ten różni się od wszystkich innych, jakie składał na moich ustach — był pocałunkiem na powitanie. Przeszliśmy przez łąkę; rosło tam mnóstwo fiołków i bratków, w każdym usypisku kamieni kwitły tojady i wierzbówki. Poniżej nas migotało jezioro wśród brzoż i olchowych zarośli.

Na schodkach stało wiadro mleka i kosz ziemniaków; ogromny bukiet polnych kwiatów leżał obok.

Otto otworzył drzwi kluczem i wpuścił mnie przodem do spowitej w półmroku izby.

Dom, Szczęście, Pocałunek,
Wspomnienia

Spędziliśmy w domku tylko czternaście dni — urlop Ottona. Bóg wie, że minęły dość szybko. Ale gdy wracam myślami do tamtego czasu, rozplywa się on w tysiąc szczęśliwych wspomnień.

Pamiętam, jak jednej nocy obudziłam się bladym świtem. Najpierw długo siedziałam na łóżku, patrząc na Ottona, i strach mnie zdjął niemal przez to moje szczęście — nie mogłam się zmusić, by znów się położyć i zasnąć.

Wreszcie wstałam i tylko w chuście, narzuconej na koszulę nocną, siedziałam w progu, patrząc na łagodny, mglisty poranek.

Długo już tkwiłam tak w miejscu, kiedy Otto nagle zawołał:

— Ależ moja droga... po co tak tam siedzisz? Już wstałaś?

Wiedziona nagłym impulsem, jakby ze wstydu — czy lęku, że mogłabym zdradzić coś, czego on może nie potrafiłby zrozumieć — powiedziałam, że wstałam, aby zaparzyć mu kawy do łóżka.

— Och, niech Bóg ma mnie w opiece. Naszła cię bajeczna energia... i jakaż z ciebie żona! Obudź mnie, jak się zaparzy — powiedział Otto i znów się położył.

Któregoś wieczoru zgubiliśmy się. Było ciemno, jak potrafi być w letnią noc, kiedy dotarliśmy nad brzeg wielkiego, nieznanego nam mokradła.

— Chyba najlepiej będzie się tutaj położyć — rzekł Otto. — Czy strasznie boisz się spać w nocy na dworze?

Pomysł uznałam za wyborny. Jeszcze nigdy nie spędziłam na dworze całej nocy.

Znaleźliśmy sobie wąskie posłanie wśród krzaków jagód; Otto omotał nam stopy swoim swetrem i moją kurtką, ja zaś leżałam z głową na jego ramieniu, patrząc na niebo — jasnoniebieskie, choć było dość ciemno, i na wzgórze naprzeciwko, które rysowało się czarne i ostre na żółtawym horyzoncie; delikatna, bladożółta luna, przemieszczająca się skrajem nieba na wschód, odbijała się w oczkach wodnych na mokradle.

Niekiedy przysypialiśmy albo leżeliśmy, gawędząc. Nagle Otto powiedział:

— Wiesz co... kiedy urodzi się nam synek, będzie miał na imię Einar. Miałem brata, który nosił to imię.

Wspominał już raz o tym bracie — kiedy byliśmy w Auli w Wielkanoc. Widziałam ich rodzinny grób koło kościoła; Otto powiedział, że Einar zginął od przypadkowego strzału.

A teraz leżał i opowiadał o bracie — o ich dzieciństwie, o zimowym popołudniu, kiedy byli na nartach w górach i cały ładunek strzelby trafił Einara w udo. Jak mężczyli się, obwiązywali ranę, ale nie mogli powstrzymać krwi — noga prawie mu się odmroziła, kiedy ciągnęli go w dół na nartach.

— Wtedy Andreas, nasz kolega, zaczął płakać. Nie dało się go powstrzymać. Nie wiedzieliśmy też za bardzo, gdzie jesteśmy, znaliśmy jedynie kierunek. Chyba rozumiesz, czasu było niewiele. Pamiętam, że świeciło tamtej nocy mnóstwo gwiazd, lśnił księżyc, a na zlodowaciałym śniegu położył się świeży puch. Jak ja się wtedy modliłem do Boga; czułem się taki mały. Ale wiesz, w takie chwile jak dziś w nocy czuję się tak samo mały. Myślę o tym, co powiedziałaś, jeśli istnieje Bóg, leżymy tu przed nim jak dwie myszki w swej dziurze.

Mocno się do niego przytuliłam — w cichym, pełnym zachwytu zdumieniu, że powiedział dokładnie to, co sama właśnie pomyślałam.

Spędzaliśmy w domku każdą niedzielę, aż do późnej jesieni.

Było to, zanim posiadanie domku letniego stało się bardzo powszechne. Nasz był jedynie starą chałupą parobka. Wtedy, nim żeśmy ją rozbudowali, była tam tylko kuchnia z kominkiem i łóżko z baldachimem, żadnych innych mebli prócz tych, które zostały po parobku; do tego dwa-trzy krzesła polowe, które Otto przetransportował na górę, i wiele dzbanów na kwiaty. Otto uwielbia kwiaty i ma szczególny dryg do ich układania — wystarczy, że wetknie parę do kubka, a już wyglądają pięknie.

W ciągu lata stale wprowadzaliśmy ulepszenia, jak haftowane obrusy, poduszki i leżanka pod oknem.

W izbie stał piec, na którym gotowaliśmy. Otto był kucharzem; ja, jak twierdził, nic nie umiałam, więc to on urzędował tam w samej koszuli.

— No tak, Marto, beużyteczna z ciebie istota!

Co wieczór chodziliśmy do Lillerud²⁹ po mleko. Otto przyjaźnił się ze wszystkimi mieszkającymi tam ludźmi, a i mnie prędko przyjęto do rodziny. W długie, chłodne wieczory leżałam na łące, rozmawiając z Ragną i dziećmi, a ze wzgórza słyszeliśmy dzwonki koni, które chodziły luzem po lesie. Słuchałam też głosu Ottona, kiedy siedział na schodach i rozmawiał z matką — matką Ragny — i z Ragny mężem.

Życie w lesie uczyniło nasz związek szczęśliwym i harmonijnym. Czuła i radosna poufałość zjawiała się sama z siebie, kiedy przez całe dni włóczyliśmy się po lesie, zbierając owoce — nad zatrzęsieniem malin wśród bujnych paproci, gdzie bałam się żmii i gdzie borówki czerwieniły się na szarych, starych pniakach, albo na cienistych zboczach pełnych jagód, gdzie złote słońce omiatało miękkimi jak aksamit mech, na mokradłach, po których Otto biegał, zbierając pojedyncze, mizerne moroszki, które tak bardzo pragnęłam mieć wszystkie. Wtedy powiedział mi, jak wielkie ilości moroszek rosły u niego w domu —

²⁹Lillerud — niewielka osada w pobliżu Nittedal. [przypis edytorski]

przez co zaczęliśmy opowiadać sobie nawzajem rozmaite rzeczy z dzieciństwa oraz młodości, a w końcu wszystko. Otto znał niemal każdą drogę i ścieżkę w całym Nittedal i całej Nordmarce, głos każdego ptaka i życie każdego zwierzęcia, zwiastuny wiosny, gwiazdy i tym podobne — poruszał się wszak po tych lasach i łąkach, odkąd był pacholęciem. A ja tutaj stałam się dziewczynką Ottona, której pilnował.

Dom, Upadek

Domek, w którym mieliśmy nasz pierwszy dom, został zburzony. Czuję, że wręcz mnie to cieszy — boleśnie byłoby teraz go mijać i widzieć, że mieszkają w nim inni. Ale tamtego wieczoru kilka lat temu, kiedy Otto i ja, mijając go, ujrzelśmy, że zaczęto go niszczyć, zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy na siebie — zaczęłam płakać, Otto był pewnie co najmniej tak samo smutny. Dom był pusty, płot wyrwany, wiele drzew leżało powalonych na krzaki czerwonej porzeczki, które zasadził Otto. Weszliśmy do ogrodu; drzwi na werandę stały otwarte, dlatego weszliśmy do środka i wędrowaliśmy po pustych, pozabawionych okien izbach. Nie widzieliśmy wiele, wracając do domu też nie; oboje byliśmy przybici, jakbyśmy utracili drogą ostoję naszych myśli. Byłam wtedy bardzo niezadowolona z życia i uznałam to za pewien symbol, że oto zamierzano wyburzyć i zniszczyć miejsce, w którym czułam się taka szczęśliwa.

Kiedy wróciliśmy do domu, Otto poszedł do ogrodu, po którym chodził, zajmując się różami, dopiero co okrytymi na zimę — było to późną jesienią. Gdy wyszłam na werandę, żeby zawołać go na kolację, powiedział ze smutkiem:

— Powinniśmy byli zabrać wszystkie nasze róże, kiedyśmy się przeprowadzali. Tak mi ich szkoda. I moje porzeczki, ledwie zaczęły się rozrastać.

Nasz pierwszy dom nie był niczym wspaniałym, ale, Boże, jakież był przyjemny. Mieściło się w nim kiedyś mieszkanie woźnicy czy podobnego pracownika wiejskiej posiadłości, później doklejono do niego drewnianą werandę. Ślepą uliczkę, na której końcu stał, Otto nazywał „ślepa kiszka”. Klony z ogrodów niemal zlewały się nad nią ze sobą; wiosną i jesienią pokrywały ją nieopisane ilości błota. Dzieci stale wyglądały jak świnki, kiedy wchodziły do środka, ale nie miałam serca ich za to ganić — często sama pragnęłam być dzieckiem, robić babki z gęstego, czarnego błota i urządzać sklepik na desce między dwiema ceglami.

Jakież dziwne rzeczy Otto znosił do domu, żeby go nimi ozdabiać! Często za ohydne uważałam te jego donice i wazon, ale wzruszała mnie też pomysłowość, jaką wykazywał się, aby mnie ucieszyć i udekorować dom, z którego był taki dumny. Zawsze wcześniej wstawał, a kiedy się ubierałam, wybiegał i wpadał z powrotem do środka, żeby powiedzieć mi, które róże rozkwitły przez noc, albo wyrzywał rzodkiewki na śniadanie.

Pod wieloma względami był bardzo dziecinny. Podczas naszego narzeczeństwa starał się to ukrywać — strasznie bał się wtedy okazać mi swoją naiwność czy prowincjonalność. Po ślubie w ogóle się już tego nie wstydział; ja też nie mogłam już przecie ukrywać, jak bardzo jestem w nim zakochana — często kokietował mnie swoją chłopcowskością. Miał między innymi w zwyczaju mówić rzeczy nieco nieprzyzwoite, ale zawsze w niewinny, dziecięcy sposób, na przykład nigdy nie nudziło mu się wspominać, że to niestosowne, iż nasza służąca nosi imię Olerina — wzbudzające nieczyste skojarzenia z choleryną³⁰.

Wybornie bawiły go moje historie ze szkoły. Którejś niedzieli podejmowaliśmy całą moją klasę czekoladą; Otto był znakomitym gospodarzem dla dziewiętnastu dziewczynek, z którymi żartował, aż cała dwudziestka umierała ze śmiechu. Od tamtej pory cała klasa była na zabój zakochana w „tatusiu naszej pani”. Był to drugi rok naszego małżeństwa, kiedy Einar miał parę miesięcy.

Boże, jakże ja puchłam z dumy przez to dziecko. Ale Otto był dużo gorszy. I jak rozpieszczał mnie przez cały czas do rozwiązania. Biedaczek, gdy ja leżałam, on kupił wiszącą lampę; miała to być niespodzianka, aż wstanę o własnych siłach, ale wygadał się na długo przedtem i zaniósł mnie, owiniętą w wełniany koc, żebym ją mogła zobaczyć.

³⁰choleryna — ostre zatrucie bakteryjne. [przypis edytorski]

Dźwięk kosiarki do trawy przywodzi mi na myśl lato, kiedy Einar był mały. Siedziałam na werandzie z książką albo robótką i się leniłam. Patrzyłam na Ottona, jak męczył się z potem na twarzy i w samej koszuli, co najmniej raz na dwa dni kosząc trawnik starą kosiarką, którą kupił na aukcji. Miał cały arsenał sprzętów ogrodowych pod schodkami na werandę; starczyłoby ich, żeby utrzymać w porządku Park Zamkowy. Brzęczenie kosiarki kojarzyło się z letnim spokojem, a ja siedziałam i przysypiałam, aż podchodził do mnie Otto i żądał, żebym wytarła mu czoło, podała lemoniady albo zesłała obejrzyć jego osiem kalafiorów i ogórków. Einar zaś leżał w słońcu i spał pod swoją zasłonką — rumiany, ciepłutki i cudny, z tymi słodziutkimi rączkami, które tak mocno chwyciły się mojej piersi, gdy go karmiłam.

W zasadzie zaczęło się od swego rodzaju zmęczenia — byłam przesycona szczęściem. Czytałam gdzieś, że szczęście zawsze jest takie samo. I tak było w istocie.

Urodził się Halfred, ja wróciłam do szkoły, a chłopczyk stał się częścią naszego gospodarstwa domowego, z całym aparatem należących do niego prac, zwyczajów i względów, łącznie tworzących dom. Ze strony Ottona pojawiły się dokładnie te same formy kontaktu i te same uczucia — powtórzyło się wszystko, co miało miejsce po narodzinach Einara. Co wtedy mnie cieszyło, teraz wydawało się odrobinę komiczne, nieco smutne, a trochę mnie obrażało. „Boże drogi”, myślałam. Potem Otto chciał, żebym rzuciła szkołę — przedsiębiorstwo, które założył, znakomicie prosperowało; było to w dobrych czasach. Mieliśmy też spory krąg towarzyski, składający się głównie z przyjaciół Ottona od interesów. Z pewnym smutkiem myślałam, że zmieni się w prawdziwego kołtuna — miał na to zadatki — ja zaś oddałę się od mojego kręgu i własnych zainteresowań, które, jak zawsze twierdziłam, dało się pielęgnować również przy mężu i dzieciach. Historia będzie się powtarzać, aż, zmęczona i brzydka po wszystkich porodach, zostaną zredukowana do punktu w długim katalogu błogosławieństw Ottona Ouliego.

Wszystko to nie jawiło mi się nazbyt wyraźnie, ale stanowiło przyczynę mojego melancholijnego nastroju. Czulałam wszak, że w takim związku, jaki mieliśmy Otto i ja, istniało ryzyko, iż się od siebie odsuniemy. Trzymałam się więc kurczowo mojej pracy i dzieci, jakbym chciała zachować je sobie w rezerwie na wypadek rozczarowania tym, co wciąż stanowiło najważniejszą część mego życia.

Otto myślał, że jestem chora; natychmiast posłał po naszego lekarza domowego, kazał mi pić wino i zażywać żelazo. Chciał, żebym pojechała do Helene albo do domku letniego, a zwłaszcza, żebym od wakacji przestała pracować w szkole. Nic mi się nie chciało; w zasadzie czymś nowym, ciekawym i przyjemnym było takie siedzenie w smutku, zmęczeniu i zamyśleniu — zwłaszcza kiedy Otto przychodził, siadał przy mnie i pieścił mnie zmartwiony:

— Ależ, moja słodka Martusiu, co ci jest? Droga moja, tylko nam się nie rozchoruj, najmilsza!

— Nic mi nie jest, Otto — powiedziałam, przyjmując jego pocałunek. Może miałam nadzieję, że w ten sposób też go do siebie przywiążę.

A potem, gdy Otto jak co roku wybierał się do Londynu, chciał zabrać mnie z sobą. Ja wolałam nie jechać — po pierwsze naprawdę nie wyobrażałam sobie, żebym mogła zostawić dzieci. A po drugie... Jako młoda dziewczyna tak strasznie pragnęłam gdzieś wyjechać, ale po to, by mieszkać w miastach, poznawać tamtejszych ludzi, chłonąć nastrój miejsca, czuć jego specyfikę. A to byłoby coś zupełnie innego.

Ale oczywiście pojechałam. I znakomicie się bawiłam. A chociaż z początku budziłam się w nocy o porze, kiedy zwykle wstawałam sprawdzić, co u dzieci, czy zrzuciły z siebie kołderki, i dopadała mnie melancholia, gdy orientowałam się, że jestem w pokoju hotelowym i myślę o moich skrabach daleko w Kristianii³¹, tęskniłam za nimi dużo mniej, niż się spodziewałam — aż było mi niemal wstyd. Otto wymyślił, żeby od razu

Podróż

³¹Kristiania — tu: dawna nazwa Oslo. [przypis edytorski]

pojechać też do Paryża, gdzie spędziliśmy osiem cudnych dni. Ciągał mnie sumiennie po mieście, żeby zobaczyć wszystko, co należało: muzea, teatry i kilka lokali rozrywkowych, które Otto z wielką przychylnością uznał za tajemnice Paryża. Ja zaś dostałam kapelusz i strój spacerowy oraz dwa zestawy jedwabnej bielizny, a także delikatny gorset i jedwabną spódnicę. W tej toalecie zatańczyłam przed Ottonem kankana jednego ranka, kiedy wróciliśmy do siebie o czwartej nad ranem i piliśmy w pokoju szampana, prześcigając się w planach, by opowiadać o naszych ekscesach.

Potem wróciłam do domu, w dobrym nastroju zajęłam się szkołą i dwa spokojne lata później byłam całkiem zadowolona z życia.

W rzeczywistości winne były chyba najmniejsze drobiazgi.

Potrzebowaliśmy większego mieszkania. Było nam już tak ciasno, że ledwie mogliśmy się ruszać, a spodziewałam się właśnie trzeciego dziecka, więc musieliśmy się przeprowadzić. Gdybyśmy mogli korzystać z piętra wyżej, dalibyśmy sobie radę i może wszystko ułożyłoby się inaczej. Ale stolarz z rodziną nie chciał się wynieść.

Już z góry byłam niezadowolona z nowego mieszkania. Nie podobało mi się żadne lokum, któreśmy oglądali, do tego źle się czułam, co mnie złościło, było to też jesienią, w straszliwą pogodę... Otto miał zapisanych co najmniej siedem innych mieszkań — dlatego dałam się przekonać jemu i gospodarzowi. Ale zawczasu zdecydowałam, że nie będzie mi się podobać w naszym nowym lokum.

Ulica była moim zdaniem ohydna — prawdziwa snobistyczna dzielnica małych willi i pustych ogrodów z altaną w rogu, po której dało się poznać, że nigdy nie usiądzie w niej człowiek; granitowe słupy u bram z nudnymi nazwiskami, kremowe firanki i majolikowe donice w oknach, a w salonach przelotem widać było stojące lampy, kolumny, palmy i wszelkie brzydactwo.

Otto uważał, że to śliczna dzielnica. A gdy zawisłam u jego ramienia i udałam wielkie cierpienie, powiedział tylko:

— Jak możesz nie czuć się źle, Marto, skoro *nie chcesz* słuchać zaleceń doktora.

Musieliśmy też mieć więcej wyposażenia — mieszkanie było dwa razy większe od poprzedniego. Otto wstawił meble ze skóry do swojej palarni, chodziliśmy też i oglądaliśmy meble do salonu, ale nie mogliśmy nic wybrać. Któregoś wieczoru w oknie wystawowym magazynu zobaczyliśmy duży zestaw z drewna jakarandy³². Otto uważał, że jest śliczny. „Rosyjski styl”, powiedział. Bóg raczy wiedzieć, skąd mu się to wzięło. Stwierdziłam, że kolor jest ładny — meble były powleczone turkusowym aksamitem prasowanym. Otto przez tydzień zachowywał się tajemniczo, aż któregoś wieczoru wpuszcił mnie do nowego mieszkania. „Rosyjskie” meble stały tam w całej okazałości.

Urodziła się Ingrid. Spełniło się kolejne serdeczne życzenie Ottona. Był nią tak zachwycony i tak zajęty, że niemal mnie to złościło. Za pożałowania godny widok uważałam, kiedy potężny, wysoki mężczyzna chodził z nią wszędzie na ramieniu i stale używał spieszczeń. Wpadał do pokoju dziecięcego zaraz po powrocie z biura — zanim przychodził do mnie.

— Mamciu, idziemy! Cólečka tatusia? No tak, to jest właśnie cólečka tatusia! Kochaś mamcię? Nie, mamcia nie kocha nas, Ingli. Chodź, wymyjemy bziką mamcię...

I podstawiał mi całe dziecko pod nos, nie przejmując się, co właśnie robię.

— Uch, a co ty tu teraz czytasz? — potrafił powiedzieć. — Że też ci się chce!

— Ech, dosyć mam tej durnej dzidzi, bo śmierdzi — powiedział Einar, kiedy Otto wyjątkowo mocno wyglądał się z małą. Otto się zezłościł, ale ja tylko zaśmiałam się z Einara i wzięłam go na kolana.

Kiedy Ingrid miała przyjść na świat, na dobre zarzuciłam szkołę. Przedsiębiorstwo

Ojciec

Małżeństwo

³²jakaranda — rodzaj drzewa z rodziny bignoniowatych. [przypis edytorski]

Ottona prosperowało wymiennie, a przez pierwsze lata nie wydaliśmy zbyt wiele. Teraz Otto chciał, żebym miała spokój i tyle pomocy w domu, ile sobie zażyczę, i tak dalej. Zaczęłam wtedy znów dużo czytać, wysłuchałam paru interesujących wykładów, chodziłam na spotkania kilku klubów i stowarzyszeń.

Ottonowi niezbyt się to podobało. Nie powiedział mi nic wprost, ale kiedy odwiedzały mnie koleżanki ze stowarzyszeń, często bywał nieprzyjemny i próbował sprawić wrażenie, że jest prawdziwym domowym tyranem.

Któregoś dnia był z nami podczas pogawędki przy herbacie. W chwili przerwy odzywał się tak:

— Dzieci, o *czymś* dziś zapomniałem. Ciekawe, co to może być?

A wtedy obaj chłopcy wrzasnęli zachwyceni:

— Zapomniałeś sprawić matce lanie!

— To prawda... Och, przypomnij mi o tym wieczorem, Einarze!

Strasznie to wszystkich trzech ubawiło. Następnie Otto chwycił chłopców za uszy i pociągnął za sobą:

— No, a teraz my, chłopaki, idziemy do mnie.

I szaleli w palarni jak dzikie zwierzęta.

Kiedyś w południe Otto przyszedł do domu ze szczeniakiem, którego kupił. Był to terier; nazwaliśmy go Psikus i byliśmy nim ogromnie zachwyceni.

— Wolałbym mieć Psikusa niż Małą — powiedział Halfred.

Biedny mały Psikus. Mieliliśmy go tylko pół roku, nim został przejechany. Otto musiał sam go dobić; płakał i dzieci płakały, i płakałam ja.

Aż któregoś dnia, kiedy się ubierałam, Otto zwrócił się do mnie gwałtownie:

— Nie rozumiem, po co ty tak wszędzie chodzisz... Dziwna jesteś, Marto. Jak możesz? Tym razem to tylko biedne zwierzątko... Następne może być jedno z twoich dzieci!

— Wiesz co? Naprawdę poniosły cię nerwy! Ale skoro masz coś przeciwko moim zainteresowaniom, sprawie kobiecej i tak dalej, wolałabym, żebyś powiedział to wprost!

— Wiesz dobrze, że absolutnie nic przeciwko temu nie mam. To dobre i zasadne kwestie, ale mogłabyś na jakiś czas zostawić je innym, dopóki masz trójkę *tak* małych dzieci.

— Dobry Boże, Otto, jeszcze długo mogę mieć małe dzieci!

— Czy zbrzydły ci te dzieci, Marto?

— Nie chce mi się nawet na to odpowiadać... Zresztą ty robisz, co w twojej mocy, żeby mi je obrzydzić.

— Słuchaj no, Marto. My, mężczyźni, musimy doglądać pracy i interesów. Nie mamy czasu na nic innego. A kiedy wy wychodzicie za mąż, z reguły wiecie, na czym będzie polegać wasza praca. Nie sądzę zresztą, żeby było to strasznie nudne zajęcie: zajmować się własnymi dziećmi i dbać o własny dom. Więc nie jest mi was żal. I jeśli na jakiś czas musisz z tego powodu odstawić na bok zainteresowania, nie inaczej musimy my, mężczyźni. Boże, czy ty myślisz, że ja mam nie wiem ile czasu na pielęgnowanie własnych zainteresowań?

— Masz w każdym razie swoje towarzystwo śpiewacze — powiedziałam.

— Jeden wieczór w tygodniu! Uważasz, że to za dużo?

— Bóg raczy wiedzieć... Raczej za mało! — ucięłam.

Staliśmy tak i się kłóciliśmy.

7 sierpnia 1902

Deszcz i deszcz. Aż oszaleć można od takiego lata.

Dla Ottona to najgorsze; oczywiście szybciej by wydobrzał, gdyby wyszło słońce i gdyby się ocieplilo. Nie da się zaprzeczyć, że są postępy, ale moim zdaniem powolne. Chociaż słowa lekarza brzmią pocieszająco, nie mogę przestać się martwić. Pewnie to tylko nerwy — od zawsze mam taką przypadłość, że pogoda wpływa na mój nastrój. Biedny Otto,

Pies

Małżeństwo, Konflikt,
Pozycja społeczna, Obraz
świata, Rodzina

dzisiaj mówił prawie tylko o Nordmarce. Przyniosłam mu mianowicie kwiaty od Ragny, która wpadła do mnie wczoraj i pytała o niego i dzieci.

Spędziłam u Ottona całe przedpołudnie. Po południu wycinałam zabawki z papieru dla Ingrid — zanudza się przecież ostatnio na śmierć. Gdy przyjechałam z miasta, zabawki Ingrid i Åse leżały wszędzie porozrzucane, a służąca jest i pozostanie bezużyteczna.

Nie podoba mi się tutaj, na Neberggaten³³. Niedobrze tak przejmować się wszelkimi uwarunkowaniami zewnętrznymi — Bóg wie, że robię, co w mojej mocy, by walczyć z moim nastrojem. Ale ta okolica naprawdę jest okropna. Wszystkie te na wpół ukończone ulice i nowe domy, które już teraz wyglądają na zrujnowane. Te mieszkanek z niby to podniszczonymi sprzętami, gęsto rozmieszczone balkoniki na budynkach, jaskrawo pomalowane klatki schodowe, brudne prześwity, a w co drugiej kamienicy delikatesy lub szewc, na każdym rogu kolejny sklep kolonialny — chyba raz w tygodniu otwiera się nowy. Wszyscy ludzie zdają się tu tacy sami. Ilekroć wprowadza się jakaś para świeżo po ślubie — a połowa tutaj to nowożeńcy, druga połowa zaś zarabia ze trzy-cztery tysiące w roku i ma sześcioro-ośmioro dzieci — dwie trzecie pań chodzi w pelerynkach i tak zwanym stanie „błogosławionym”; do tego mają te same trzy typy mebli: objane pluszem w salonie, dębowe w jadalni, mahoniowe łóżko i toaletkę. Uch, jak to możliwe, osiem rodzin na jedną klatkę schodową i szesnaście na jedną pralnię, do tego balkon, na który zajrzeć można z piętnastu innych — i to prócz tych z sąsiednich kamienic. I jeszcze deszcz zmywa doszczętnie kwiaty na balkonie — wszystkie moje piękne, czerwone pelargonie, a tak cieszyłam się, że będę nosić Ottonowi bukiety.

Jak cudnie w zasadzie było mieć ogród. Docenię, jeśli kiedyś znów będziemy go mieli. I telefon!

Dzieciom nie jest tutaj właściwie najgorzej. Chłopcy w każdym razie bawią się znakomicie na działkach budowlanych i w niedokończonych kamienicach. Ingrid i Åse najczęściej wychodzą ze służącą i grzebią w piasku gdzieś w okolicy. Kiedy pomyślę, jak innym było w dzieciństwie... Biedna mała Ingrid nie ma innego zajęcia niż wkładać ziemię do czerwonego, blaszanego wiaderka i przesypywać ją z jednej sterty na drugą. Gdy jeszcze pogoda pozwalała jej robić to codziennie, mogłam czuć się zadowolona. Chociaż... Niech Bóg ma mnie w opiece, jaka to męka prac w kuchni.

10 sierpnia 1902

Czuję się tak straszliwie opuszczona i zrozpaczona — zwłaszcza w nocy, kiedy leżę i tęsknię za Ottonem, który jest w Grefsen, za Einarem i Halfredem, którzy są w Løten. Czasami zabieram do siebie na całą noc Åse, żeby nie czuć aż takiej samotności.

W dzień jest lepiej. Wtedy myślę i układam wszelkie możliwe plany na nadchodzący czas. Ale kiedy wymyślam sobie życie, które mamy rozpocząć, niemal dostaję gorączki ze zniecierpliwienia — Boże, Boże, jak długo będzie to jeszcze trwać? Czuję się, jakby miało mi rozsadzić serce. Otto pyta mnie wtedy, co jest nie tak; ostatnio ciągle widzi, kiedy coś jest nie tak.

Dziwne, jak bardzo wyculiła go choroba — natychmiast dostrzega najmniejszą zmianę mojego nastroju.

Nigdy nie kochałam mojego męża bardziej niż teraz.

A potem Henrik wrócił z Anglii. Odziedziczył spadek po swoim wuju i został współnikiem w interesach Ottona.

Właściwie straciłam Henrika z oczu, odkąd się zaręczyłam. On zaś wyjechał do Anglii mniej więcej w czasie, kiedyśmy się pobrali, i otrzymał tam wysmienitą posadę. Otto i ja odwiedziliśmy go, będąc w Londynie. Henrik korespondował też trochę z Ottonem; ja czasami dopisywałam pozdrowienia do jego listów, dostałam też życzenia z okazji urodzin oraz gdy Otto powiadomił go o powiększeniu rodziny.

³³Neberggaten a. Neberggata – historyczna ulica w Oslo. [przypis edytorski]

W okresie, gdy załatwiali sprawy związane z nową firmą, naturalnie sporo u nas bywał; często też wychodziliśmy gdzieś razem we troje: do teatru, na kolację do restauracji i tak dalej.

Otto żywił wobec Henrika nieopisany podziw. Ja od początku naprawdę najbardziej cieszyłam się, że tyle u nas jest, bo w pewien sposób zbliżało to mnie i Ottona do siebie.

We troje rozmawialiśmy o wielu sprawach. Henrik zawsze lubił rozmawiać. Dzieliliśmy się więc pomysłami jak w dawnych czasach u ciotki Guletty i na stacji u Henrika. Co rozumiały, tym razem było zdecydowanie inaczej — chociażby z tego powodu, że teraz wszyscy mogliśmy mówić na podstawie własnych doświadczeń. Rozmawialiśmy więc znacznie mniej. Zresztą Henrik nabral pewnej powściągliwości. Ale zawsze dobrze robiło mu, kiedy mógł wygłosić krótki, uporządkowany wykład na dowolny temat.

Myszę, że chciał nam pomóc. Dość dobrze znał nas oboje, przyszedł z zewnątrz, widział nas w naszym domu i najwyraźniej prędko zrozumiał sytuację.

To zawsze on kierował rozmowę na tematy, które pośrednio dotyczyły naszego związku. Zawsze ograniczała się to do ogólników; wszyscy troje udawaliśmy, że w ogóle nie mówimy o sobie — a jednak mnie i Ottonowi udawało się powiedzieć sobie tak wiele, Henrik zaś przyznawał rację to jednemu z nas, to drugiemu, i formułował puenty, dzięki którym oboje zwracaliśmy uwagę na wiele spraw, których wcześniej nie rozumieliśmy, chociaż tkwiliśmy w tym sami.

Była to więc pewna forma rozrachunku — albo porządków. I nie mogę zaprzeczyć — po takim sprzątaniu czułam się nieco pusta w środku.

Było to groźne uczucie. Czułam się bowiem tak dobrze i miałam mnóstwo czasu, żeby zajmować się sobą. Otto, jak to on, zdawał się jeszcze bardziej mieć mnie na uwadze. W końcu już od lat urządzał mi życie, nie myśląc, że może w ogóle nie jestem zachwycona domem, towarzystwem i zwyczajami, które dla nas obojga wprowadzał — nie przychodziło mu do głowy, że moje opinie są czymś innym niż „wymysłami”, do których nie miał czasu się odnosić, zwyczajnie zajęty robieniem wszystkiego, by było mi dobrze.

A teraz nagle te same opinie słyszał z ust Henrika. Myszę, że zdecydowana większość mężczyzn bardziej słucha szanowanego przez siebie przyjaciela niż własnej — od jakichś ośmiu-dziesięciu lat — żony. Otto w każdym razie słuchał.

Poza tym mocno rosła też moja pewność siebie, gdy stawałam się przedmiotem uwagi oraz współczucia Henrika. Wszak zawsze *odrobinę* go podziwiałam, jako że był przystojny i elokwentny; teraz, po powrocie z zagranicy, zainteresował mnie na nowo, a odświeżenie dawnej, zażyłej relacji miało w sobie pewną pikanterię. Podobno dużo „żył” przez te lata — we wszelkich znaczeniach tego słowa. Otto dawał mi to do zrozumienia, a panie, wśród których się obracałam, chętnie o tym rozmawiały; uważały go za szalenie interesującego i słodkiego, pozostawały pod jego wielkim wrażeniem — a ja byłam z nimi tak mocno żyta, że ich poglądy wpływały na mnie bardziej, niż zdawałam sobie z tego sprawę.

Płynęłam zatem dość biernie z prądem, pielęgnując swoje nastroje.

Henrik urządził sobie urocz kawałerskie mieszkanie na poddaszu na Munkedamsveien³⁴. Otto i ja regularnie spędzaliśmy tam wieczory — ja na starej narożnej kanapie na balkonie, rozmawiając z Henrikiem, który pokazywał mi swoje teczki i sztukę, Otto zaś przy fortepianie (był wtedy wyjątkowo zajęty swoją muzyką, pobierał lekcje u pani Onarheim i ćwiczył trudne utwory). Dla mnie wieczory w spokojnych, stylowych salonach Henrika stanowiły czysty odpoczynek.

— Niech to diabli, ale ten Henrik elegancko mieszka — powiedział Otto któregoś wieczoru, kiedy szliśmy do domu. — To coś zupełnie innego niż na przykład... nasz dom.

— Tak — zgodziłam się. — To tobie należą się wyrazy uznania za nasz dom... Ale jeśli ci się nie podoba, to...

— Boże broń! Jasne, że jest u nas urocz i przyjemnie... Chodzi mi tylko o to, że nie jest tak... oryginalnie... jak u Henrika. Nie mam w tych sprawach rozeznania — dodał po chwili — ale w zasadzie to nie rozumiem, Marto... Myszę sobie, że dałabyś radę urządzić nas w takim stylu.

³⁴Munkedamsveien — historyczna ulica w centrum Oslo. [przypis edytorski]

Nie wiem nawet, o co pokłóciliśmy się tamtego popołudnia — o jakąś błahostkę. Ale byłam nie w sosie, bo umęczyłam się, szykując dzieci na przyjęcie. Siedzieliśmy na balkonie, pijąc kawę, nalegałam na coś, aż w końcu Otto wybuchnął:

— Musisz, do cholery, wybaczyć, przyznać, że są rzeczy, na których nie znasz się lepiej od innych!

W tej samej chwili przyszedł Henrik, a zaraz potem dzieci hurtownika Høidala zjawiły się po nasze. Często złościł mnie naiwny podziw Ottona dla tych wielkomiejszczańskich dzieciaków, zwłaszcza dla przemądrzałych, miniaturowych dam z naszego Westendu³⁵ — czuł się wręcz zaszczycony tym, że jego dzieci mają z nimi przebywać. Teraz siedział na poręczy balkonu, słuchając, jak mała Judit w najlepsze opowiada o wszystkich balach, na których była tej zimy — bez trudu dało się poznać, że dziewczynka kłamie w swoich przechwałkach, ale Otto pozostawał pod wrażeniem.

Nagle rozległ się krzyk Halfreda, który najwyraźniej wdał się w bójkę z Einarem. Otto wypadł do środka, żeby zobaczyć, co się wyprawia.

Zaraz gdy pobiegł, Henrik i ja popatrzyliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się. Było w tym uśmiechu coś, co sprawiło, że się zawstydziliśmy. Poczułam, że Henrik zareagował tak samo. Więc, jakby na swoją obronę, zaczęłam mówić — po raz pierwszy bez ogródek — o moim i Ottona związku. Był to niemal zarzut wobec mojego męża.

— On niczego nie *widzi* — powiedziałam jakby na usprawiedliwienie, ale *był* to zarzut.

— Tak, nie widzi, że jesteś inna — powiedział przyjaciel Ottona, też próbując się bronić, choć wypadło to zdumiewająco blado.

Wtedy Otto wrócił; zatrzymał się przy moim fotelu, pocałował mnie i podniósł z miejsca.

— Czyż nie ładnie Marcie w tej sukni? Czyż nie jest urocza?

Zrobił to, bym zapomniała, że wcześniej się oburzył. Potem poszedł.

— No, gratuluję nowej sukni — powiedział Henrik i popatrzył na mnie przez chwilę. Następnie szybko spuścił wzrok.

Ale nie dość szybko. Głos też miał jakiś dziwny. Serce zabiło mi przez to mocniej. „On się w tobie kocha”.

Nic sobie wtedy nie pomyślałam, lecz uznałam to za zabawne. Siedemnastoletni podlotek nie zareagowałby bardziej bezmyślnie, nie ucieszyłby się z większym cynizmem.

Tamtego wieczoru kokietowałam Henrika, świadomie i dość prostacko. Miałam w bucie gwoździak, który mnie uwierał, więc zrzuciłam but i poprosiłam Henrika, żeby zgął ten gwoździak, uderzając go kamieniem. Uczynił to i oddał mi but.

— Niesamowite, jaka jesteś elegancka — powiedział Henrik. — Codziennie nosisz jedwabne pończochy?

— Tyle dostają ich od Ottona — odparłam. — Zagustował w nich w Paryżu. — Po czym opowiedziałam, jak tańczyłam dla niego kankana.

Henrik miał minę, jakby zjadł coś gorzkiego.

— Doprawdy powinnaś jeszcze kiedyś spróbować.

— Myślę, że teraz niewiele by to pomogło — powiedziałam. Zeszliśmy do ogrodu. — Bo widzisz, Otto uważa, że na wszystko jest czas. Dla *niego* czas kankana już minął. Teraz ma nam być miło w naszym przytulnym domu. A jeśli mi nie jest miło, to już tylko mój problem, bo on nawet tego nie *zauważa*. Nie dlatego, że o mnie nie *myśli*, to pewnie akurat robi, ale myśli o mnie zawsze jak o swojej własnej, wyjątkowej rzeczy.

I znów rozmawialiśmy o Ottonie.

— W pewnym sensie on bardziej myśli o wszystkich innych niż o samym sobie. Ale ci inni w jakimś sensie muszą być jego ludźmi. Dlatego też tak ciężko pracuje, bo w gruncie rzeczy pracuje tylko dla siebie, na siebie. Chyba nie umiałby pracować tak po prostu. Z miejsca by umarł i to z radością, za ciebie lub dzieci, ale za jakąś sprawę... nigdy!

„Parobek!”, przemknęło mi przez myśl. Natychmiast poczułam, że nie, nie mam prawa tak mówić, brzydkie to i nikczemne, a fe. Próbowałam wymazać to słowo, ale już nie jego efekt, bo chciałam patrzeć na Ottona nieco z góry.

³⁵Westend — historyczna, prestiżowa ulica w Kopenhadze; może chodzić też o porównanie z londyńskim obszarem centralnym (West End), znanym z licznych teatrów i wielu atrakcji turystycznych. [przypis edytorski]

— Biedaczyna męczy się, by jak najszybciej spełniać wszystkie twoje życzenia, tak że nie masz nawet czasu sobie czegoś *zazyczyć*. A nigdy nie wpadnie mu do głowy, że jakiś człowiek mógłby życzyć sobie czegoś innego niż on. Widzisz, on już dawno zapomniał, że nie *urodziłaś się* Martą Oulie.

— Henriku — powiedziałam — czasem życzyłabym sobie, żeby nie był tak strasznie miły. Wolałabym wręcz, żeby mnie bił. Bo na to tutaj nie ma żadnej rady.

— Ty też chyba jesteś nieco winna, bo mogłabyś trochę bardziej się bronić.

— Kiedy byłam zakochana, nie mogłam. A teraz, później...

— Później... — powiedział Henrik, tonem, który nagle zasiał we mnie niepewność, więc spuściłam wzrok i powoli rzekłam:

— Później to później. Nie da się nic na to poradzić.

— Bądź jak Otto — powiedział Henrik z mocą. — To jest rada. Otto, tyle ci powiem, to człowiek, który rozumie, jak żyć. Ludzie nazywają „życiem”, gdy mężczyzna idzie w tango, żeby dać ujście energii, której nie może spożytkować w domu, przyzwyczajając się do pracy. Otto potrafi pracować; pracuje, aż wióry lecą. Nawet *pojęcia* nie masz, jaki z niego jest przedsiębiorca. Bo widzisz, on *chce* robić interesy, a do czegokolwiek przykładą rękę, okazuje się sukcesem. Rzecz w tym, że Otto nigdy nie zainteresuje się czymś, co mogłoby się nie powieść. Ludzie to wyczuwają i zawsze mają do niego zaufanie. On nigdy nie marnuje sił. A ludzie zawsze czują, że jego udział oznacza uczciwy interes. W zasadzie to jestem w porównaniu z nim mizerotą, prawdziwym beztalenciem jako przedsiębiorca.

— No wiesz co! Gdyby tak było, myślisz, że tak powiodłoby ci się na przykład w Anglii?

— Och, tam miałem szczęście. Zresztą tutaj, zauważyłem, jest trudniej. W świecie łatwiej jest coś osiągnąć. Bo widzisz, tacy jak Otto, którzy zawsze idą przed siebie, zostawiają za sobą, co się skończyło i rozpoczynają następny rozdział życia, święcie przekonani, że będzie jeszcze lepszy. To oni mają rację, nie my, którzy siedzimy na skraju drogi, rozmyślając, co się stało i co mogłoby być inaczej, marząc, jakby to było osiągnąć tego, o czym *wiemy*, że jest nieosiągalne.

— Tacy jak ty i ja — powiedziałam.

— Jak ty i ja.

— Henriku — powiedziałam. — Powinieneś powoli się ustatkować.

— Ach... A co przez to rozumiesz?

— Na przykład... mógłbyś się ożenić.

Henrik zaśmiał się powoli:

— Aha... I ty mi to polecasz!

— Podobno mężczyzna nigdy nie jest naprawdę nieszczęśliwy w małżeństwie — powiedziałam szybko. — To znaczy, kiedy nie ma złej żony. Myślę na przykład, że mężczyzna nie cierpi, będąc mężem jednej i kochając inną, gdy jego żona jest ładna i miła.

Henrik przeniósł na mnie wzrok:

— Co ty możesz o tym wiedzieć?

Przestraszyłam się tego, co właśnie powiedziałam — czy też, jak pojął to Henrik. W ogóle nie miałam zamiaru mówić czegoś, co odnosiłoby się bezpośrednio do Henrika i do mnie. A jednocześnie poczułam silną satysfakcję, skoro już mi się to tak wyrwało — chociaż wcale nie chciałam.

Uczucie jeszcze się wzmogło, kiedy Henrik patrzył tak na mnie i zapomniał odwrócić wzrok — siedzieliśmy w półmroku na balkonie.

— Widzisz — odezwał się Henrik powoli — gdybym powiedział, kiedy się zaręczałaś, że tak to się ułoży, chyba byś mi nie uwierzyła? Czasami myślałem, że to się nie uda, „za bardzo się różnią”, ale taka byłaś szczęśliwa... Nie posłuchałabyś mnie, a ja pomyślałem, że może też wam się ułożyć. Sądziłem także, że niedobrze byłoby coś takiego powiedzieć... naprawdę byłoby to niedobre. W każdym razie *byłaś* szczęśliwa.

— Lepiej, gdybym nigdy nie była.

— Nie — powiedział Henrik. — Przykro byłoby powiedzieć sobie: *szczęście* to coś, czego nigdy nie było mi dane poczuć.

Podeszłam do niego.

— Biedny Henriku... — Poglądziłam go po policzku.

Praca, Kondycja ludzka

Szczęście

Naprawdę było mi go żal. Byłam też bardzo poruszona, że tak się z mojego powodu smucił.

Nagle Henrik chwycił mnie mocno za nadgarstek — rozpaloną dłonią. Po czym gwałtownie wstał i wymamrotał coś zakończone słowem „dobranoc”. Zabrał ze stołu kapelusz i wybiegł.

Stałam jeszcze tam zamyślona i patrzyłam za nim, kiedy zjawiła się niańka, aby powiedzieć, że Ingrid źle się czuje, więc musiałam wrócić do środka. Wymiotowała, bolał ją brzuch i krzyczała, a kiedy oporządziłam ją, przygotowałam jej łóżko i nieco ją uciszyłam, nie chciała mnie puścić — musiałam ją nosić i lulać; chciała mi spać na kolanach.

Siedziałam z nią na kanapie w pokoju dziennym, gdy nagle drgnęłam; ktoś był za oknem. Odłożyłam dziecko, już śpiące, na kanapę i wyszłam.

Był to Otto — głos drżał mi ze strachu i bezsensownej, pełnej poczucia winy konsternacji.

— Ależ, drogi mój, wielkie nieba... Tutaj stoisz?

Mała przebudziła się i z zadowoleniem dała się zabrać ojcu do łóżka. Otto wyszedł do mnie, nadal stojącej w ciemnym ogrodzie.

— Cóż za dziwaczny pomysł: stać tam i zaglądać do środka — powiedziałam ze złością.

Otto zaśmiał się i mocno mnie objął.

— No właśnie! Wiesz co, człowiek miewa czasem takie śmieszne pomysły. Byłem za furtką do ogrodu i zobaczyłem światło w salonie. Pomyślałem sobie wtedy, jakby to było, gdybym był obcym, który w piękną, letnią noc zobaczył takie światło w przyjemnym domu w cudnym ogrodzie. I wyobraziłem sobie, dla hecy, że przejdę przez ogród i zobaczę, jacy mieszkają tam ludzie; widzę, że w swoim ogrodzie mają wiele pięknych kwiatów, czuję zapach krwawników i rezed — zaglądam więc do środka i widzę uroczą młodą panią, siedzącą w salonie z cudnym dzieciątkiem na kolanach... Boże dopomóż, stałem tak i zazdrościłem sam sobie.

Wtedy Otto zaśmiał się swoim głośnym, wesołym, chłopcym śmiechem i przycisnął mnie do siebie. Odwzajemniłam gest — wymienialiśmy się długimi, ciepłymi, czuлыми pocałunkami i, mocno w siebie wtuleni, chodziliśmy wśród róż.

— Pora się kłaść, skarbie — szepnął Otto. I ramię w ramię poszliśmy na górę. Nagle, między pocałunkami, powiedział:

— Jasne, że Ingrid jest jeszcze za mała, żeby chodzić z dziećmi na przyjęcia.

Zdanie spadło na mnie jak kubek zimnej wody po tylu nastrojach tego dnia.

Ostrożnie się wyswobodziłam i weszłam do środka. A kiedy Otto poszedł za mną, z łagodnym spojrzeniem odmówiłam dalszych objęć; bolała mnie głowa.

— Henrik został na kolację, też rozbolała go głowa. Tak było duszno, zbiera się pewnie na burzę.

Otto przyznał nad wyraz zgodnie, że pewnie się zbiera na burzę. Dał mi antypiryny³⁶ i uznał, że okno może zostać otwarte, bo jeśli będzie burza, sam się zapewne obudzi. Leżałam z zamkniętymi oczami i zdradzającym cierpienie uśmiechem. Nadstawiłam policzek, kiedy całował mnie na dobranoc — Otto złożył na nim całus, pogładził mi czoło i życzył zdrowia. A potem wyciągnął się w swoim łóżku, aż zaskrzypiało.

To jak z tą koszulą z baśni, którą dziewczyna oblała łojem, by potem próbować sprać. Im bardziej prała i szorowała, tym czarniejsza stawała się koszula.

W pewnym stopniu chodziło tu o brak doświadczenia. Bo naprawdę nie miałam żadnych innych doświadczeń oprócz Ottona. I zaczęłam postrzegać siebie z jego perspektywy, a kiedy nasz związek stał się codziennością i rutyną, miałam pewność, że — czy mi się podoba czy nie — życie nie będzie mieć dla mnie innego celu niż Otto czy dzieci.

Wtedy odkryłam, że Henrik się we mnie kocha. Naprawdę aż ogłupiałam z zaskoczenia. Widziałam też, że dla niego jestem osobnym człowiekiem, nie tylko panią Oulie i mamą trzech małych Ouliątek. Zaczęłam przyglądać się sobie. Wiedziałam, że jestem,

Pocałunek

Kochanek, Zdrada

³⁶antypiryna — lek przeciwbólowy i przeciwgorączkowy. [przypis edytorski]

jak to się mówi, ładną, młodą żoną. Ale chyba niewiele się nad tym zastanawiałam — poza tym, że młoda dziewczyna ze zdjęć na biurku Ottona zniknęła jak zeszloroczny śnieg; nie byłam nieświadoma szkód, jakie trzy połogi wyrządziły moim wdziękom. Przeglądając się w lustrze, ciasno zasznurowana, w nowej, jasnej letniej sukni, z wysoko upiętymi, kręconymi włosami, natychmiast zauważyłam, że naprawdę jestem młoda i piękna, pomimo trzydziestu trzech lat, trójki dzieci i plomby w zębie z przodu.

Zaczęło się od amikoszonerii³⁷ między Henrikiem a mną tamtego wieczoru — od melancholijnej, pełnej zrozumienia sympatii. Z mojej strony historia ta w zasadzie nigdy nie miała związku z erotyką albo miłością. Nasze spotkania, wspólne spacerunki o zmroku, moje odwiedziny u niego, podczas których zauważałam, jak to, co niebezpieczne, niedozwolone, zaczyna ogarniać nas, zagęszczając powietrze, pieszczoty Henrika — żadnej z tych rzeczy nie pożałowałam z jego powodu, tylko dla siebie samej. To ja, ja, ja chciałam być podziwiana przez jego oczy, dłonie i wargi; wcale nie było tak, że musiałam oddać się temu, który został panem mej duszy — to ja pragnęłam mieć *jego*, od stóp do głów.

Obudził się we mnie naturalny popęd, pierwotny i nienasycony, a ja, miła żonka kupca, która tak ładnie, spokojnie chodziła sobie, zajmując się domem, w rzeczywistości stałam się złym, groźnym szkodnikiem. Nie była to zwykła próżność, lecz coś głębszego — może dusza próżności lub próżność duszy.

Nie myślałam o niczym w świecie prócz siebie. Moje dzieci — uważałam, że starczy, jak zadbam, by były najedzone i ubrane, sama zaś bezwstydnie przebywałam z kochankiem dwa pokoje dalej, gdy spały. O Henriku myślałam najmniej; w zasadzie nie przejmowałam się nim bardziej niż lustrem na toaletce. Nigdy bowiem nie pomyślałam, jakie cierpienia mógłby zadać mu ten związek. Z pewnością był dużo lepszy ode mnie, bo naprawdę mnie kochał, i gdybym tylko umiała zostawić go w spokoju, cała ta historia by się nie wydarzyła. Właściwie to dość niedorzeczne, że teraz go nienawidzę. A jednak — trzydziestoosmioletni mężczyzna nie powinien być jak Goethowska Małgorzata³⁸; ze względu na przyjaciela powinien był uszanować jego żonę, choć ta zasługiwała na wszystko prócz szacunku.

Otto — zbyłam go tym jednym słowem „parobek”. Pojechałam odebrać go, kiedy wrócił z Londynu, niemal ze złościwą satysfakcją, bez poczucia wstydu lub winy.

W ogóle nie zastanawiały mnie niepokój i podenerwowanie Ottona w pierwszych dniach po jego powrocie z dorocznej podróży służbowej. Któregoś dnia powiedział, że chce nocować w palarni — „Aż wyleczę się z tego kaszlu. Tylko cię przez niego budzę i wszystkich niepokoję”.

— Tak — odparłam — naprawdę przykry jest ten twój kaszel. Ciągnie się już chyba od wiosny. Doprawdy powinieneś udać się z nim do doktora.

Choroba

Którejś nocy obudziłam się, bo zdawało mi się, że Otto był w sypialni. Zauważyłam, że drzwi do jego pokoju stoją otwarte — zwykle zamykał je, żeby nie przeszkadzać nam swoim kasłaniem. Obróciłam się na drugi bok, chcąc spać dalej, w półśnie jednak usłyszałam, że jest na nogach i chodzi obok mnie.

Rozbudzona i dziwnie złąkniona siedziałam jakiś czas na łóżku. W świetle lampki nocnej zobaczyłam, że jest wpół do trzeciej.

Po chwili wstałam i zakradłam się do drzwi. Łóżko Ottona było puste, a jego nie było w pokoju. Zajrzałam do salonu — stał tam, w pełni ubrany, przy narożnym oknie. Musiał usłyszeć, że weszłam, bo odwrócił się w moją stronę.

Gdy tylko ujrzałam jego twarz...

Nasz przyjemny, spokojny salon, spowity w miękkiej poświacie latarni gazowej zza wykusza, nagle jakby z każdego kąta zalały ciemność i strach.

Ujrzałam twarz Ottona, bladą, zrozpaczoną, skrzywioną; widziałam, że płakał. „On wie”, przemknęło mi przez myśl.

³⁷ *amikoszoneria* (daw.) — przesadna poufalość. [przypis edytorski]

³⁸ *Goethowska Małgorzata* — bohaterka dramatu *Faust* autorstwa Johanna Wolfganga von Goethego (1749–1832). [przypis edytorski]

Serce podskoczyło mi w piersi, nie czułam gruntu pod stopami. Po chwili serce zaczęło mi walić, a lepki pot oblał całe ciało; dłonie i stopy miałam zimne jak trup. Staliśmy, patrząc na siebie nawzajem.

— Nie mogłem spać — powiedział Otto z trudem, dziwnie grubym głosem. — To nic... Dlatego ubrałem się i zszedłem na trochę do ogrodu... Idź, połóż się, Marto, to nic takiego.

Zrobił kilka kroków w przód, po czym opadł, jak martwy, na kanapę. Zwiesił głowę, ręka leżała nieruchomo na stole.

Przełęczniona i oniemiała podeszłam do niego:

— Mój drogi, co się dzieje... Chory jesteś, Otto?

Wtedy rzucił się na stół i zasłochał.

Zdało mi się, jakby samo życie, prawdziwe, żywe życie, *moje* życie wołało mnie, gdy ujrzałam, jak mój mąż płacze. Dotknęłam mu głowy, nadgarstka, schyliłam się nad nim i wezwałam po imieniu. Gdy się odwrócił, chwycił mnie i pociągnął na kanapę obok siebie, kryjąc twarz na moim łonie, aż przez koszulę nocną poczułam na skórze jego łyzy i palący oddech — wtedy wróciło me własne „ja”, to, które wzrastało przy tym mężczyźnie, i zapłakałam, bo on płakał; łyzy wydarły się z głębi mojej istoty, jak woda, która wypływa przez topniejący lód.

Otto nieco się podniósł, odchylił głowę na oparcie kanapy i przychodził do siebie. Po chwili ujął moją głowę i jedną dłonią starł mi łyzy z twarzy:

— Biedna, biedna Marto, jak ja cię wystraszyłem... Już, już, nie płacz.

— Widzisz — zaczął, kiedy się opanował — w Londynie odkaszlnąłem nieco krwi... tylko troszeczkę. Ale oczywiście natychmiast poszedłem do doktora... „Suchoty”, powiedział. Boże, przecież to nic takiego. To tylko moje podenerwowanie, leżałem i nie mogłem zasnąć... A wtedy...

Godzina za godziną siedzieliśmy w na wpół oświetlonym pokoju dziennym i rozmawialiśmy — próbowaliśmy się nawzajem uspokajać. Zmęczona, zmarznięta, wilgotna od łez, siedziałam przy nim, pocieszając go i rozweselając, a wspomnienie o tym, w co zmienił mnie ostatni miesiąc, czyhało na mnie jak strach — byle nie patrzeć w tę stronę! Szeptaliśmy do Ottona i gładziłam go po rozpalonej od płaczu twarzy, próbowałam uciec od siebie do niego, słabymi dłońmi próbowałam podtrzymywać go i podpierać, gdy zauważyłam, że ogarnia go lęk.

Wtedy poprosił, żebym szła już do łóżka:

— Przeziębisz mi się tutaj, biedaczko!

Objął mnie i zaciągnął do środka, ale w drzwiach sypialni zatrzymał się, obrzucił spojrzeniem trzy łóżeczka w świetle lampki nocnej i uniósł nieco ręce:

— Och, to o nich myślę... o nich i o tobie, Marto... Jak to z wami będzie!

Dotknęłam jego szyi i go pocałowałam.

— Drogi mój, drogi... Suchoty... Lekarze mówią przecież, że większość ludzi je przeszła, nawet o tym nie wiedząc.

I poprosiłam, żeby poszedł do łóżka; poprawiłam mu poduszki i prześcieradła i do niego mówiłam.

— Chodzi o to, Marto, że zmarła na to moja matka... i Lydia, i Magda... Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam... Zawsze zdrow jak ryba i silny... Sądziłem, że kto na świecie, jeśli nie my, miałby pobrać się z czystym sumieniem...

Położyłam się, ale musiałam wstać, żeby sprawdzić, czy Otto zasnął. Przykryłam go i pieściłam jak dziecko. Było już jasno, kiedy sama zapadłam w sen.

Obudziłam się o jedenastej. Gdy zapytałam o Ottona, służąca powiedziała, że poszedł o zwykłej porze do biura.

Niech Bóg w niebiesiach oszczędzi każdemu takiego przedpołudnia jak to...

Napisałam kilka linijek do Henrika — że wszystko musi się skończyć, żem zrozpaczona i odczuwam wstyd. Nic więcej. Nie napisałam, że go nienawidzę. Ani że życzę mu śmierci. Ale życzyłam mu jej z całej duszy. Gdyby zniknął, byłoby, jakby nigdy nie istniał. Przez kolejne godziny tęskniłam za Ottonem i obawiałam się — wmawiałam sobie, że w jakiś sposób się dowie, roztrząsałam, jak mógłby się dowiedzieć, rozważałam każdą opcję. A kiedym tylko o nim myślała, krwawiłam wewnątrz z dawnej czułości, która

Łzy, Rozpacz

Choroba

była czymś całkiem cielesnym, lecz innym niż pożądanie — chęcią, aby dotykać, głaskać, pieścić mu głowę, czoło, oczy, usta, dłonie, matczyną czułością, dziwnie złęknioną i bojaźliwą.

W kolejnym okresie wiodłam życie, które przypominało balansowanie na wąskim występie skalnym; nie wolno patrzeć na boki, tylko w przód — by nie dostać zawrotów głowy i nie runąć w dół.

Żyłam z dnia na dzień. Co rano, na ile mogłam, przemocą tłamsiłam wszelkie myśli nie dotyczące bieżącej pracy i zbierałam siły w jednym celu: aby przez cały dzień zachować pogodę ducha i pokazywać Ottonowi i dzieciom spokojne oblicze.

Zorientowałam się, że jestem w ciąży, przez co wpadłam w rozpacz, która jednak nie była nowa — miałam tylko wrażenie, jakby ktoś odrobinę dokręcił śrubę na łożu tortur.

Najgorsza była troska Ottona o biedną kruszynkę, która miała przyjść na świat. Widziałam, jak cierpi na samą myśl — choć po tamtej nocy już nigdy więcej nie załamał się i nie narzekał. Czuł się też całkiem dobrze; był wyjątkowo ostrożny, wszyscy także, na ile mogliśmy, liczyliśmy się z jego chorobą. Wciąż jednak kaszłał, choć nie wypływał krwi.

Wynajmowaliśmy mieszkanie przy Vettakollen³⁹, a Otto najczęściej zachodził do biura tylko przed południem.

Henrika na szczęście widywałam stosunkowo rzadko. Właściwie to nie pojmuję, jak mogłam tak się opanowywać i zachowywać tak naturalnie, gdy byliśmy razem. Było to jednak łatwiejsze, niż sobie wyobrażałam.

20 sierpnia 1902

Mia Bjerke była tu przed południem. Rozmawialiśmy o moim powrocie do pracy w szkole.

— Muszę powiedzieć, że to odważne z twojej strony, Marto — mówi Mia — ale chyba niekonieczne... skoro Ottonowi tak dobrze się powodzi.

A więc wygląda to na rzecz dość bezsensowną. Ottonowi też się nie podoba.

Inni podejrzewają pewnie, że chcę być oryginalna. Wciąż tak robią.

Zawsze zauważali, że czułam się wśród nich trochę nieswojo. A jednak stale byli dla mnie uprzejmi. Oczywiście głównie ze względu na Ottona, ale też — ponieważ są mili.

W niedzielę byłam zaproszona do Jensenów na Snarøen⁴⁰. Siedząc u nich, cały czas myślałam, jak tam przyjemnie — a stały u nich tapicerowane meble, donice, palmy i kolumny — bo nie o to chodzi w domu, jak wygląda, tylko jacy są ludzie.

Gdybym naprawdę była uzdolniona, jak kiedyś sobie wyobrażałam, już dawno zrozumiałabym, że życie to *tylko ludzie*, los to tylko związane ze sobą ludzkie życia. A ja, której dane było żyć wśród zdrowych, dobrych i zdolnych ludzi, jakimi są przyjaciele Ottona, odkryłam, jak się wśród nich odnaleźć. I udawało mi się to bez ubliżania własnej istocie. *Jest to możliwe* — da się wybrać części swej osobowości najbardziej przydatne na co dzień i to je pielęgnować.

Chodziłam jednak i wcale nie myślałam, wyobrażając sobie, że myślę. Nigdy nie usiłowałam patrzeć na tych ludzi od środka. Oceniałam ich z zewnątrz, na podstawie tego, co w ogóle nie należy do nich, nie stanowi części ich istoty — smaku oraz idei, które sami pozyskali z zewnątrz. Na przykład Mia — za ładne uważa to, co nowoczesne i co wystawia się w eleganckich sklepach. Dłuższy czas to u niej obserwowałam i doszłam do wniosku, że nie mamy w zasadzie żadnych wspólnych zainteresowań, choć obie jesteście mężatkami i mamy dzieci.

Szczerze się zawstydziałam, kiedy dziś tutaj przyszła. Przez co najmniej dwa miesiące wybierałam się do niej, ale to odwlekałam. Aż tu ona przychodzi z dżemem malinowym dla mnie, ma też truskawki i róże dla Ottona.

³⁹Vettakollen — wzgórze i obszar w dzielnicy Vestre Aker w Oslo. [przypis edytorski]

⁴⁰Snarøen a. Snarøya — półwysep w wewnętrznej części fiordu Oslo. [przypis edytorski]

Biedna mała Mia; też nie ma wesoło, wiecznie zajęta dziećmi. Ja na jej miejscu nie chodziłabym z różami i truskawkami dla chorych przyjaciół. Ale ona powiedziała tylko łagodnie:

— Och, tak, Marto, ktoś na tym świecie musi znosić, co najgorsze.

Ach, życie, życie, życie!

Wszystkie te stracone, puste lata, kiedy chodziłam wpatrzona w siebie, aż stałam się samotna wśród ludzi, bo oglądałam tylko przypadkowe, chaotyczne ślady, a nie ich samych.

Bo chociaż nauczyłam się patrzeć na rzeczy, których oni nie widzą, i choć wypełniali mi myśli rzeczami, o których nie myślą — jaki ma to związek z życiem? Czy ktoś ma czarne włosy czy brązowe, proste plecy czy zgarbione — nasze ciała żyją w ten sam sposób, krew płynie w żyłach, musimy jeść i pić. Naszym душom trzeba tego samego, cierpią ten sam głód i pragnienie, choć nauczone są żądać innego pokarmu. Nie mamy zapewne innej duszy niż życie naszego ciała — jakie żyje w nas niczym płomień na materiale, który się pali.

Tyle dróg sprowadziło mnie na manowce. Teraz będzie inaczej. Nie wiem, czym jest życie, ale samotność nim nie jest.

Jak zrodzeni jesteśmy z życia innych, tak, czerpiąc od innych, podtrzymywać musimy nasze istnienie. Musimy płacić za nie, codziennie dając coś z siebie.

Czasem, siedząc u Ottona, nabieram wielkiej ochoty, aby zsunąć się przy nim, położyć mu głowę na kolanach i powiedzieć.. Sama nie wiem co. Może nic.

Nigdy przecież nie mogę z nim o tym rozmawiać. W sumie dlatego to wszystko spisałam. To część mnie, którą wydzieliłam z siebie i teraz od siebie odsuwam — nie będzie mi potrzebna w życiu, jakie zamierzam wieść.

Zapłaciłam za swe doświadczenia więcej, niż człowiek może sobie pozwolić. Ale teraz nie ma już sensu ich oplakiwać.

Pojutrze wracają moi chłopcy, dzień później zaczynam pracę w szkole. Nie liczy się teraz nic poza pracą na rzecz mojego domu, nic więcej, nic mniej. No i wkrótce wraca też Otto. Mój własny, własny, własny przyjaciel!

Uklucia bólu nigdy nie przestaną mnie męczyć — ilekroć widzę Henrika, ilekroć Otto pieści malutką Åse. Może z czasem zdołam do nich przywyknąć. Inni musieli. Wiem tylko, że *muszę* stworzyć szczęście dla moich najbliższych — a wtedy już będzie dobrze. *Musi* być.

II

Nowy Rok 1903

Przeglądałam, co napisałam latem. Zaledwie cztery miesiące temu. A w moim odczuciu — jakby co najmniej przed czterema laty. Byłam wtedy pewna, że wszystko się ułoży.

A jednak jesień minęła szybciej niż jakikolwiek okres w moim życiu, od niedzieli do niedzieli; nie wiedziałam, gdzie podziewają się dni. Zdawało mi się, że ledwie zaczęłam rok szkolny, aż nagle któregoś dnia Halfred mówi mi: „Mamo, jeszcze trzy tygodnie do Wigilii”.

Einar i Halfred w Wigilię byli bardzo cisi, zwłaszcza na początku. Zapaliwszy świeczki na choince, nie mogłam powstrzymać płaczu — w tym roku nie było nas dość wielu, by wokół niej chodzić. Weszłam do jadalni; nie chciałam, żeby służąca to zobaczyła, dzieci też. Biedactwa, powinny zapomnieć o smutkach, na ile mogą. Pamiętam siebie, kiedy zmarł tata. Choć się wstydziłam i było mi źle, czułam się wręcz pokrzywdzona, kiedy minęło parę miesięcy, a mama płakała lub narzekała. Dzieci nie powinny się smucić, Otto też tak mówi.

Halfred przyszedł do mnie, kiedy tam stałam, objął moją szyję i mnie pocałował. Dzielnie próbował przełknąć płacz. A kiedy poszedł, zjawił się Einar.

Chłopcy kupili tyle prezentów — winogrona i kwiaty dla Ottona, a dla mnie, poza wszystkim, co zrobili na zajęciach praktycznych w szkole, kupili parę eleganckich, wyściełanych futerkiem, skórzanych rękawiczek. Moim zdaniem niedobrze, że wydali

Pozory, Samotność

Święto, Śmierć, Smutek

na mnie tyle pieniędzy. Ale Halfred z dumą powiedział, że oszczędzali razem przez całą jesień:

— A w niedzielę spotkaliśmy na ulicy wujka Henrika i każdy z nas dostał po dwie korony.

Miałam ogromną ochotę odłożyć te rękawiczki gdzieś daleko, razem z wyrzutami sumienia. Ale ze względu na chłopców jestem zmuszona nosić je, aż zostaną z nich strzępy.

3 stycznia 1903

Otto nie chce wracać do domu. Odkąd jesienią pierwszy raz mocno pluł krwią, chyba uświadomił sobie, że już nie wróci.

To mój rozpaczliwy pomysł, żeby podjąć znów pracę w szkole, winien jest tego, że chce tam zostać. Otto dostrzega teraz w tym kroku moją mądrą przezorność i wmawia sobie, że ani lekarz, ani ja nie wierzyliśmy latem w poprawę, dlatego porzucił wszelką nadzieję. Jestem zupełnie bezradna, nie mogę przecież zdradzić mu prawdziwego powodu, a moje wyjaśnienia brzmią pusto. Nie mogę też porzucić pracy, którą tak szczęśliwie udało mi się zdobyć — nie da się biegać tak tam i z powrotem, muszę też być przygotowana na utrzymywanie dzieci.

Gdy to się kiedyś skończy, muszę też porozmawiać z Henrikiem. Dotąd się unikaliśmy. Któregoś dnia — zanim Ottonowi się pogorszyło — powiedział:

— Kiedy Otto wyzdrowieje, przejmę posadę w Londynie.

Gdyby tylko dało się przestać myśleć o tym wszystkim, o środkach na życie, zmarnowaniach finansowych, o męce i szkole — wciąż tylko ten smutek i kurczowe trzymanie się każdej minuty, którą możemy spędzić razem, my dwoje, których czeka rozłąka.

Dokucza mi wieczna gorączka lęku, cierpię z powodu każdej zmarnowanej godziny, kiedy nie jestem przy nim. A gdy już tam jestem, smucę się, cierpię i boję się mówić. Siedzę ze swoją robótką, gadam o dzieciach, przyjacielach, znajomych i nowinkach z miasta albo czytam na głos rzeczy, których on chce słuchać — Lie⁴¹, Kiellanda⁴² i Kiplinga⁴³ — śmiertelnie bojąc się, że poruszę jedyny temat, o którym oboje myślimy. Pojmuję jednak, że w ogóle ani trochę nie pomaga mi to chciwe oszczędzanie każdej kropli nikszej żywotności — ani odrobinkę.

8 stycznia 1903

Kochamy się i wiemy, że czeka nas rozłąka. Nie ma cienia nadziei, nie ma litości dla naszej rozpacz. Nic jednak nie mówimy, nie krzyczymy przez tę bezwzględność życia, nie szlochamy razem. Dziś rozmawialiśmy o chrzcinach u Bjerkesów.

3 lutego 1903

Nie mogę przestać rozmyślać, jak sprowadzić Ottona do domu. Ktoś musiałby mnie zastąpić w szkole. Ale on nie chce. Mówi, że boi się o dzieci.

Zawsze pyta z troską o Ingrid, bo tak często dokucza jej brzuch. A przedwczoraj powiedział wreszcie (rozumiałam, że długo o tym myślał):

— Jesteś pewna, że to nic gruzliczego? Taki mam w sobie lęk, naprawdę musisz wziąć ją na dokładne badania.

Zaraz po powrocie rozmawiałam z naszym lekarzem domowym, a wczoraj byłam z nią u specjalisty. Nie widzą żadnego związku, ale i tak się wystraszyłam.

8 marca 1903

— Chciałbym jednak dożyć tylko do wiosny — powiedział dziś Otto.

⁴¹ Lie — Bernt Bessesen Lie (1868–1916) norweski pisarz lub Erik Røring Møinichen Lie (1868–1943) norweski pisarz, historyk kultury i dziennikarz. [przypis edytorski]

⁴² Kielland, Alexander (1849–1906) — norweski powieściopisarz, nowelista i komediopisarz. [przypis edytorski]

⁴³ Kipling, Rudyard (1865–1936) — angielski prozaik i poeta. [przypis edytorski]

Prawie nie może mówić, narzeka na bóle gardła, wzrok też ma słaby. Twarz jakby mu się zmniejszyła, a ilekroć wciąga powietrze, poniżej podbródka widać dużą, nieprzyjemną dziurę.

12 marca 1903

Tak mnie drażni, kiedy ludzie okazują mi współczucie; drażni mnie też, kiedy tego nie robią. Starsi nauczyciele i nauczycielki bardzo mnie żałują — co mnie złości; za to te młode, nowe, które śmieją się i hałasują w pokoju nauczycielskim, aż pękają z rozbawienia — wprawiają mnie we wściekłość. Nie zazdroszczę młodym dziewczynom ich radości; bywa, że krzywo się uśmiecham, gdy opowiadają o wspaniałości życia, rzucam też gorzkimi, pogardliwymi mądrościami. Na szczęście chyba nie robi to na nich najmniejszego wrażenia.

Współczucie

Jak bardzo oddaliłam się od tego wszystkiego. W rzeczywistości w ogóle nie interesuje mnie praca, nie przysparza mi też radości. Pracuję zupełnie automatycznie. Zajmuje mnie cały świat czegoś zupełnie innego.

19 marca 1903

Pastor odwiedził Ottona.

Kiedy się rozebrałam, ujął moją dłoń i ją ścisnął; chciał, bym usiadła na skraju łóżka.

— Pastor Løkke był dzisiaj u mnie, Marto.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Otto zaś ciągnął:

— Sam po niego posłałem. Widzisz, Marto, nie mam już siły. Walczyłem z tym aż od jesieni, kiedy pojąłem... Nie śpiam w nocy zbyt wiele, a kiedy człowiek leży tak i nie śpi... Co noc myślałem: „Porozmawiam z nią o tym jutro”. Ale gdy przychodziłaś... widziałem, żeś zmęczona i zdenerwowana... Więc nie chciałem, sądziłem, że dość masz spraw na głowie. Pomyślałem wtedy: „To ze strachu, chłopcze, wymyślasz teraz to wszystko...”. Och, ale nie tylko dlatego, Marto... Bo gdybym myślał o tym, będąc silnym i zdrowym, kiedy dość miałem innych myśli... o interesach i domu. Ale gdy człowiek leży tak jak ja teraz, możesz być pewna, że dostrzega swą duszę! Nie, Marto, życie ludzkie to coś innego niż pozostałe życie na ziemi. Już to tylko, że człowiek leży tak i *wie*, że umrze, miesiącami myśli, że to *nastąpi*... I o tych, którzy po nim zostaną, co będzie z nimi. Bo widzisz, chyba nie ma potrzeby udawać, że jeszcze mamy *nadzieję*... co?

Kłęczałam przy jego łóżku i płakałam. A Otto wziął moją dłoń i na chwilę położył ją na swej biednej, chorej piersi:

— Może tego nie rozumiesz... ale przynajmniej dla mnie...

Przez chwilę leżał, nie mogąc nic więcej powiedzieć, bo płakał. Aż wyszeptał jeszcze bardziej ochryple:

— *Musi* istnieć ktoś silniejszy od nas, ludzi.

Nie mogłam dłużej powstrzymać milczenia, sądziłam, że muszę mu trochę pomóc, więc wyszeptalam:

— Och, Otto, ja też tak myślę!

Wtedy przesunął rękę, którą mnie obejmował, do mojego policzka, spojrzał mi w oczy i lekko się uśmiechnął.

Zostałam tam długo, tak długo, że było dość ciemno, kiedy wracałam. Na szczęście do tramwaju szłam z jakimś panem i panią — uch, na Grefsenveien⁴⁴ w ciemności bardzo jest nieprzyjemnie.

Pastor Løkke tak bardzo pocieszył i uspokoił Ottona. To zresztą wyjątkowo miły i kochany człowiek. Zgadzałam się ze wszystkim, co Otto mówił, i chyba bardzo mu to pomogło.

— Nie, Marto — powiedział. — To nie tak. Gdy wydało się na świat czworo dzieci, a osoba, którą najbardziej się kocha, ma zostać sama... Niemożliwe, że wszystkie więzy pękają ze śmiercią.

Nie dam rady napisać tego wieczoru nic więcej, jestem tak okropnie zmęczona myśleniem o wszystkim.

⁴⁴Grefsenveien — historyczna ulica w Oslo. [przypis edytorski]

8 kwietnia 1903

Otto opowiadał dziś o naszym małżeństwie. Dostrzegł dużo więcej, niż myślałam.

Pastor Løkke znów dzisiaj u niego był, a Otto mówił o jedynym, co teraz go zajmowało.

— Czuję spokój, Marto. Och, dobrze jest znaleźć wytchnienie, ufając temu, który jest silny i miłosierny. Nigdy nie sądził, że tak spokojnie będę żegnał się z życiem, choć jestem młody i mam nieskończenie wiele do porzucenia. Wszak kocham tak bardzo życie i byłem tak silnym, zdrowym człowiekiem. Teraz wiem jednak, że nie stracę nic z rzeczy, które są mi tak miłe; będę posiadał je w inny sposób, bliżej serca. Bardzo się cieszę, że myślisz tak samo. Wiesz, że wieczna rozłąka nie jest możliwa, gdy jest się z kimś tak blisko. Rozmawiałem dziś o tobie z pastorem. On mówi, że Bóg nie wymaga od ciebie, byś zносиła to zaraz cierpliwie i bez narzekania; ale odnajdziesz pocieszenie. A dzieci... Myślę, Marto, że będę mógł widzieć je i podążyć za nimi duchem nawet po śmierci. Może też jakoś ich strzec. Pewnie Bóg będzie im lepszym ojcem, niż mogłem być ja, ale może tak całkiem się nie rozstaniemy. A my dwoje, gdy się kiedyś spotkamy... Będziemy mogli kochać się dużo goręcej niż na ziemi, bo nie będzie tam już żadnych drobiazgów, które nas czasem dzieliły. Bo widzisz, ja wiem, że nie zawsze była całkiem szczęśliwa. Widziałem to w ostatnich latach; zawsze byłaś niespokojną duszą, moja kochana. Nigdy z tobą o tym nie rozmawiałem... Trochę bałem się jeszcze pogorszyć sprawę. Och, ale w większości były to dobre dni, Marto?

Przytaknęłam i zaslochalam. Straszne, że stałam się taka nerwowa; nie umiem powstrzymać łez, kiedy Otto tak mówi. Ale na szczęście, odkąd zaczął wierzyć, już go to tak nie złości.

— Tak właściwie zawsze *chcieliśmy* dla siebie najlepiej. I, Marto, kiedyś wszystko zrozumiemy i dostrzeżemy... że wszystko, co czasem nas rozdzielało, były to tylko drobne, doczesne błahostki, które wkraadały się między nas z zewnątrz. Tkwiły trochę w zwyczajach i w wychowaniu. Jak nieznaczne były to rzeczy, zrozumiemy któregoś dnia, kiedy już *nic* w życiu jednego z nas... nie będzie ukryte przed drugim.

Nawet gdybym *mogła* uwierzyć, czy byłaby w tym jakaś pociecha? „Kiedy już nic w życiu jednego z nas nie będzie ukryte przed drugim”.

Gdybyśmy kiedyś mogli ujrzeć swe nagie dusze... i naprawdę zobaczyć, jak nieskończenie małe były drobiazgi, które z początku nas podzieliły. Och, buntowałabym się w samym środku królestwa niebieskiego, bo wszechmogący i wszechwiedzący pozwalał, by cała ta żalność, wstyd, zepsucie i szpetota wpływały... sączyły się przez maleńkie szczeliny w to, co zaczęło się tak znakomicie.

Czasem sama tęsknię za wiarą. Chciałabym móc to wszystko odrzucić — smutek nad bezsensownym życiem oraz nieszczęściem, którego się nie da naprawić — i uwierzyć, że wszystko to ma jakiś sens, że istnieje zbawienie. Lecz nie potrafię. Trzeba by zostawić swój zdrowy rozsądek, aby uwierzyć, że stoi za tym miłosierny Bóg; i swoje poczucie przyzwoitości, by wyobrazić sobie, że skrucha przynosi zbawienie.

Pastor mówił o próbach, na które Bóg wystawia opornych — *cóż to za bóg jak zarządca niewolników!*

„Żeby matka nie wierzyła w życie wieczne”, mówi Otto, „ona, która sama daje życie”. „Dziecko to list od Pana”, widziałam kiedyś w druku. Dziewczyna, która do końca nie wie, co czyni, dając się przekazać w wianku i welonie, przy dźwiękach dzwonów i muzyki, w obecności pastora i diabła mężczyźnie, który ją niszczy — biedna kobieta, która wychodzi, by się nieco zabawić, upić się, może, żeby zapomnieć, jak beznadziejnie męczyła się cały dzień; dziewczyna napadnięta wieczorem na polnej drodze przez obcego włóczęgę — wszystkie mogą dostać „list od Pana”.

Co Panu do moich dzieci? Co dziecku do wieczności; jak miałyby żyć bez końca to, co powstało z jajeczka we mnie? Gdyby moje dziecko zmarło tuż po narodzinach, jak

Wiara, Miłość

Wiara, Kobieta, Bunt

mielibyśmy odnaleźć siebie — kiedyś, za dłuższy czas, kiedy i dla mnie skończy się życie? Może próbowałabym w coś z tego wierzyć, gdybym straciła dziecko.

My, ludzie, zostaliśmy podobno stworzeni na obraz Boga — tego, który rządzi nieskończonym światem. Próbuje o tym myśleć — i myślę o *moim* życiu, o własnej krótkowzroczności. Uważam, że to dziecięce gadanie.

12 kwietnia 1903

Byłam ślepo przekonana, że Otto mnie nie rozumie. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że to ja nie rozumiałam jego. Błądziliśmy w ciemności tak blisko siebie, że gdybym tylko wyciągnęła rękę, znalazłabym go u swego boku. Nasza młoda namiętność się wypaliła; dałam jej zgasnąć i nie widziałam, jak łatwo mogłam podtrzymać ogień miłości, która mogła oświecić i ogrzewać nas oboje do końca życia. A myślałam, że jestem tak mądra.

Otto widział, że nasze życie stacza się na zły tor, i go to smuciło — choć nie tak gorzko jak mnie, w końcu zawsze miał swoją pracę i nigdy nie myślał aż tyle o sobie. Ale smuciło go to i tęsknił za gorętszym życiem. Nigdy nie dostrzegł, jak *bardzo* było źle — obowiązek i wierność były dla niego czymś zanadto oczywistym i pewnie nawet w marzeniach nigdy by nie pomyślał, że dwoje, którzy pobrali się z miłości i mieli wspólny dom oraz dzieci, mogłoby tak bardzo się od siebie oddalić. Ale ja zawsze sądziłam, że on niczego nie widzi.

Teraz pojawia się to w jego słowach, choć jako cień rzeczy, które minęły. Bo teraz wszystkie te rzeczy się dla niego skończyły. Z łatwością chwycił się wiary, on, którego cała istota jest wiarą.

Zapytał mnie, czy chciałabym przyjąć wraz z nim Sakrament Ołtarza.

— Nie musisz, jeżeli sama nie chcesz, Marto. Dla ciebie, która jesteś w połowie życia, wszystko to wygląda na pewno inaczej. Rozumiesz, nie wolno robić ci tego ze względu na mnie, jedynie dla siebie samej.

Cieszę się, że natychmiast się zgodziłam, bo ujrzałam, jak bardzo go to uradowało.

Codziennie czytam mu *Biblię* i zawsze o niej rozmawiamy. On nie ma już siły zbyt wiele mówić; jego powolny, ochryply szept w końcu całkiem milknie, a ja muszę co chwilę pomagać mu przepłukać gardło i podawać wodę z sokiem do picia. A więc mu czytam.

Nietrudno mi zrozumieć tok jego myśli i czasem znajduję niemal pociechę w tej zabawie w wiarę. Kiedy patrzy się na nie od wewnątrz, chrześcijaństwo jest całkiem spójne — można czuć się jak pośrodku wysokiej katedry z witrażami — chociaż wiem, że cały prawdziwy świat oraz światło dnia są na zewnątrz.

Boże, cóż to za rozpacz, że taki właśnie jest koniec — stale tylko kłamię, nie śmiem powiedzieć mu ani słowa, w które naprawdę wierzę.

III. LUŻNE KARTKI

Lillerud, lipiec 1904

Co ze mnie w zasadzie za człowiek? Sama sądziłam, że dobra jestem i mądra; popełniłam wielki grzech, ale chyba myślałam, że doszło do niego właściwie bez mojej winy.

Teraz wydaje mi się, że byłam bardziej ślepa i rozumiałam mniej niż wszyscy inni ludzie. Nie znam nikogo, kogo życie posypałoby się jak moje. Pewnie wynika to z czegoś, co mam w sobie.

Kiedy rozglądam się po pokoju i widzę śpiące dzieci, zastanawiam się, jakich rozczarowań z nimi doświadczyć? Czy one też się ode mnie oddały — jak wszystko inne? Myślę, że moje życie składało się z kolejnych zawiedzionych nadziei i z kolejnych szans na szczęście, które sama zaprzepaściłam. Taka jestem zmęczona, że nie rozumiem wręcz, jak dalej żyć — czuję się potłuczona od środka jak po licznych upadkach i nie mam siły się podnieść.

Wyjęłam papier i przybory do pisania, aby odpowiedzieć na list Henrika. Czytając, wmawiam sobie, że dostrzegam u niego trochę dawnego ciepła. Sama jednak nie mam czym mu odpowiedzieć. A jednak nie jest mi to obojętne, cieszy mnie, że nadal się mną

Małżeństwo, Miłość,
Samotność

przejmuje. Sądzę, że już więcej nie zobaczymy się na tym świecie, ale jest w tym dla mnie jakaś pociecha, gdy wiem, że siedzi w Newcastle⁴⁵ i wciąż dobrze o mnie myśli. Przypuszczam, że tak już zostanie; Henrik jest w gruncie rzeczy wierny.

Narzekają tutaj na słońce, które piecze i pali dzień w dzień.

Siedzę przy płocie z poziomych żerdzi na skraju lasu albo nad rzeką. Poza tym wszystko brzydko tu wypalone, lecz tam mech trzyma się jeszcze świeży i zielony, a krzewy olchy mają gęste i ciemne listowie. Stan rzeki jest niski, ale rześko i chłodno tam człowiekowi, gdy słucha wody płynącej ze szmerem po kamieniach i kiedy patrzy, jak światło słoneczne wpada między cień liści, aż połyskuje piana, owady zaś przypominają wiszące w powietrzu iskry, ilekroć wlatują do światła.

Albo wchodzę na szczyt. Jak okiem sięgnąć tylko las świerkowy — jednolita, złocona słońcem ciemność świerczyny za niskimi, kragłymi pagórkami, w oddali zaś, na tle jasnego od słońca nieba ledwie zauważalny, niebieski grzbiet. Spokój panuje w lesie w te palące, jasne dni, głęboki jak wieczny sen; widać, jak słabo i wolno sączą się życiodajne soki w drzewach i wrzosach — w końcu stwierdzam, że w moim własnym ciele i w mojej własnej duszy życie porusza się tak samo sennie i cicho, a mój żal chowa się i śpi gdzieś na dnie mej istoty.

Dzieci ledwie widzę przez cały dzień. Są w domku, gdzie bawią się z dziećmi nowego właściciela. Einar z początku nie chciał tam przebywać, ale teraz i on chodzi.

Tylko Åse drepcze tu dookoła z małym Tomasem Ragny bez spodenek. Kiedy biorę ją na kolana, a ona siedzi i mówi, głównie sama do siebie, ja zaś słucham jej i nie słucham zarazem, myślę sobie, że w tej główce przy mojej piersi mieści się cały świat — tylko ile ja z niego poznam? Nie ma sensu wyobrażać sobie inaczej — dusze naszych dzieci są jak obce lądy, pełne nieskończenie wielu długich dróg, po których nigdy nie będzie nam dane się poruszać. Matka myśli pewnie, że zna swoje dzieci i je rozumie — lecz każde dziecko pojmuje któregoś dnia, że wcale tak nie jest. A jednak, kiedy siedzę i ją przytulam, nie jestem całkiem sama. Ze swoim dzieckiem na kolanach jest się tak blisko drugiego człowieka, jak to tylko możliwe.

To ze względu na dzieci zgodziłam się, kiedy Henrik zapytał, czy za niego wyjdę. Taka byłam zmęczona po śmierci Ottona, tak bardzo zmęczona, aż opadałam z sił na myśl, że miałabym trudzić się, idąc z nimi przez świat w pojedynkę.

Kiedy siedział obok mnie w kaplicy, był niemal równie biały na twarzy jak Otto w trumnie. Drżał też, jakby z zimna, gdy pastor Løkke mówił o bożym miłosierdziu, które objawiło się w chorobie i śmierci, o Ottonie, który wędrował po świecie, zajęty interesami i domem, wpatrzony w ziemię, lecz który w ciężkich, samotnych chwilach zwrócił wzrok ku górze. Czasami rozpoznawałam własne słowa Ottona, nieprzyjemnie obce i zdeformowane, niczym wspomnienia pojawiające się we śnie. Potem mówił o wiernej, ofiarnej małżonce zmarłego oraz o jego przyjacielu i wspólniku.

Cały czas zdawało mi się, że śnię; te psalmy, mnóstwo wieńców i wszyscy ci obcy ludzie w procesji, wszystkie te nieprzyjemne, czarne cylindry, kiedy szliśmy ściśnięci, i mnóstwo przyjaciół, których nie widziałam, o których nie myślałam latami.

Wszystko to dziwnie nierzeczywiste — aż od tamtego ranka, kiedy posłano po mnie, abym natychmiast przyszła.

Otto był przytomny i poznał mnie, ale prawie nie mógł mówić. Miał napady niepokoju, między którymi leżał całkiem nieruchomo. Śmierć była zupełnie inna, niż myślałam. Lekarz twierdził, że nie toczy się tu właściwie walka ze śmiercią; mimo to pomieszczenie wypełniał sączący się niepokój, a Otto, który trzymał mnie za rękę, nagle odwrócił od nas wszystkich wzrok, spojrzął przed siebie i szepnął: „Jezu...”

Chwilę przedtem jednak uczynił znak, że chce mi coś powiedzieć, a gdy się schyliłam, wyszeptał:

— Nie stój tak, Marto... Musisz usiąść, kochana.

Natura

Pogrzeb

Śmierć

⁴⁵Newcastle — miasto i dystrykt metropolitalny w pln.-wsch. Anglii. [przypis edytorski]

Narzekałam Henrikowi:

— Czyż nie spadła na nas straszliwa kara? Mamy stać tak nad grobem Ottona i myśleć, cośmy zrobili, lecz nie możemy tego w żaden sposób naprawić. Tylko nieustannie żalować, co jest niepotrzebne i nie przynosi korzyści nikomu z żywych!

— Tak — powiedział Henrik.

— Dopóki żyjemy, musimy to za sobą ciągnąć... Na nasze nieszczęście tkwi to w nas jak choroba, która nigdy nie minie. A my o tym wiemy!

— Wiemy... Och, ale co wiemy, Marto? Że cierpimy i cierpieliśmy... i że będziemy cierpieć. Tylko do czego to prowadzi? Przecież nie mamy pojęcia, co życie może uczynić z tych naszych smutków.

— Tak mówisz. Ale ja wiem. Mówisz o życiu... Powiadam ci, dla mnie życie się skończyło.

Henrik nie odpowiedział. Siedział tylko, zapatrzony przed siebie.

— Posłuchaj, Marto — odezwał się wreszcie — przecież oboje to wiemy. Kiedyś, gdy minie dość czasu, pobierzemy się...

Wstałam na równe nogi. Rozzłościłam się, zawodziłam i z wściekłością wylewałam na niego zarzuty.

— Zdradziłeś najlepszego przyjaciela — rzuciłam z pogardą. — Uwiodłeś mu żonę... Nawet tydzień nie minął, jak leży w ziemi, a ty już mówisz, że mamy się pobrać!

— Tak — przyznał Henrik. — Tak już jest. Masz rację, spadła na nas straszliwa kara. Ale rzuciliśmy się kiedyś w nurt, który zaprowadził nas tutaj. Wstyd, żal i hańba... Nie uciekniemy od nich. Ale jeszcze żyjemy, nie możemy położyć się i umrzeć. Masz swoje dzieci. A ja... Czy pomogłoby ci, gdybym umarł? Nie miałabyś wtedy nikogo. Jesteśmy na siebie skazani. Więc spójrzmy raczej na sytuację, jaka jest. Co rano, gdy się budzimy, życie dopada nas dniem, przez który musimy przejść... Czy nie powinniśmy raczej próbować żyć najlepiej, jak potrafimy?

— Dobrze, że ty już potrafisz spoglądać rozsądnie na tę sytuację... — powiedziałam z goryczą.

— Uważam, że najlepiej będzie, jak będziemy szczerzy wobec siebie nawzajem i siebie samych — rzekł Henrik. — Tylko ty i ja wiemy, czegośmy się dopuścili. I naprawdę mieliśmy dość czasu, by ustalić w duchu, czym to w ogóle było. Oraz co po tym nastąpi. Gdyby Otto wyzdrowiał, wyjechałbym... a ty musiałabyś wymyślić, jak mu to wynagrodzić. Teraz już go nie ma... My dwoje nie możemy ani go skrzywdzić, ani mu pomóc. On istnieje tylko w naszych wspomnieniach. A jeśli udamy, że się z nim liczymy, tak naprawdę liczyć będziemy się tylko ze sobą — z nastrojami, które w sobie pielęgnujemy. Jesteśmy teraz tylko ty i ja... i musimy spróbować mieć jeszcze coś z życia. Moglibyśmy czekać na „odpowiedni” czas... udawać, że jesteśmy tak zdruzgotani, że nie myślimy o niczym innym niż żałoba. Ale to właśnie jest straszne, że nie możemy przechodzić żaloby, nie pozwalając, by smutek mieszał się ze wspomnieniami przeszłości i myślą o przyszłości. Boże mój, Marto... czy nie rozumiesz, że czasem chciałbym tak bardzo, że aż doprowadza mnie to do szaleństwa... być teraz przy tobie jako brat i przyjaciel i szczerze przeżywać żalobę po stracie Ottona... I żeby wszystko, co nas oboje zajmuje, nigdy nie istniało... było czymś nieznanym naszym myślom. Żebyśmy, słysząc o takich związkach, uważali je za niezrozumiały błąd. A jednak do tego doszło. Dlaczego mielibyśmy odgrywać przed sobą komedię? Bądźmy przynajmniej uczciwi!

— Och tak. Naturalnie masz rację. Po prostu nie mam teraz siły, żeby się w to zgłębiać. Nie potrafię traktować tego jak ty. Henriku, moje życie jest od tamtej pory tak straszne, że nawet nie wiesz...

— Tak, Marto — powiedział cicho. — A jak myślisz, *moje* życie jakie było przez te lata?

Chodziłam po salonie, płakałam i zawodziłam. Aż zatrzymałam się przed nim.

— Jest po wszystkim. Wszystko, wszystko minęło. Dlaczego mielibyśmy starać się znów coś odbudowywać... Na co miałoby się to zdać? I przez co zniszczyliśmy siebie nawzajem? Przez kaprys, zachciankę, przez nic, nic!

— Marto, to, co nazywasz niczym, jest całym moim życiem, odkąd sięgam pamięcią. Zatrzymałam się.

— Przecież dobrze wiesz — powiedział Henrik — że kocham cię prawie od dziecka.

A jednak rozważałam ślub. Oczywiście nie powiedziałam, że tego chcę i nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale cały czas istniało takie założenie.

Henrik przychodził do mnie prawie codziennie. Był miły dla dzieci na swój spokojny sposób — w niedziele zabierał chłopców na narty, wysyłał ich do teatru i tak dalej. A wobec mnie wykazywał się niesłychaną pomysłowością i cierpliwością, próbując wywabić mnie z mojej skamieniałej żaloby.

Kiedy przychodził, siadałam jako obraz rozpaczy i się smuciłam. Wydobywałam z siebie udrękę, zmęczenie i zgryzotę, które uspokajały się nieco podczas codziennej pracy — siedziałam, roztrząsając, jak wszystko jest beznadziejne, nieszczęśliwe i upokarzające. I pozwalałam, aby najlepiej, jak tylko potrafił, próbował stopić moją skostniałą, milczącą istotę. Dawałam mu mówić i słuchałam go z uśmiechem, wyrażającym smutek zmieszany z pogardą, rzucając lakoniczne, niejednoznaczne odpowiedzi; jednak postrzegałam te wizyty Henrika jako jego obowiązek, a za swoje święte prawo uważałam, żeby go dręczyć.

Tak, dręczyłam go, jak mogłam, Henrik zaś znosił moje humory z anielską wręcz cierpliwością i opanowaniem. W ogóle go nie kochałam, lecz akceptowałam jego miłość, szarpiąc i targając mu serce najmocniej, jak tylko umiałam.

— Nic mi się nie chce — powiedziałam któregoś dnia. — Nic w życiu nie jest już dla mnie cokolwiek warte, bo czuję, że zostałam unurzana w błocie, z którego nie potrafię się podnieść... Mówię ci, nie chce mi się nawet próbować wstać!

A kiedy Henrik starał się chwycić moje dłonie, gwałtownie przywiodłam je do siebie. — Zostaw mnie!

— Kiedy właśnie nie chcę. *Musisz* już wziąć się w garść... Oczywiście łatwiej jest usiąść i rozpamiętywać przeszłość, ale to jak samobójstwo! *Musisz* iść dalej... Na litość boską, co umarło, zostaw już pogrzebane i zastanów się, w jakich warunkach możesz teraz żyć, jakkolwiek nie byłyby trudne. Co by pomogło, gdybym usiadł u twego boku i także się smucił? Jak myślisz, jakie miałbym wtedy życie? Stworzony jestem właściwie do uczciwości. Gdyby ktoś powiedział mi dziesięć-dwanaście lat temu, że pewnego dnia znajdę się w takim miejscu, że zrobię to i to, wierz mi, zaklinałbym się, że to niemożliwe! *Stałem* się biednym człowiekiem, Marto... Ale przeszłość *minęła*, a moja miłość do ciebie jest *teraz*. I to na niej właśnie można próbować budować życie!

Chciałam, żeby Henrik mówił właśnie takie rzeczy. Chciałam patrzeć, jak wylewa swą miłość, jak w głębi siebie szuka świeżej życiowej odwagi, którą mógłby złożyć u moich stóp — ale zarażała go moja nieustanna zgryzota i widziałam oraz słyszałam, że sam jest zrezygnowany i zropaczony, że nie wierzy we własne słowa.

Aż wreszcie odchodził zmęczony, a ja nie poddawałam się, dopóki nie wypędziłam życia z jego miłości, nie zdeptałam każdej iskierki odwagi i nadziei, jaka się w nim zatliła.

Ciągle jeszcze przychodził. I nadal chciał, żebyśmy się pobrali. Teraz jednak robił to chyba tylko z poczucia obowiązku i żeby móc jak najwięcej dać z siebie mnie oraz dzieciom.

Jednak patrząc, jak wędnie miłość Henrika, coraz bardziej stawałam się nieszczęśliwa. Nie dlatego, że go kochałam, lecz rozumiałam, iż sama odganiem od siebie jedyną osobę, która się o mnie troszczy. Widziałam też, że robię wszystko, by stał się nieszczęśliwy i po raz kolejny zupełnie niczego nie rozumiałam.

Lecz nie zamierzałam tego przerywać. Tak bardzo niezdolna czułam się, by przemierzać świat sama z dziećmi. Rok w rok męczyć się w pojedynkę — nie śmiałam o tym myśleć.

A jednak to właśnie dla dzieci z tym skończyłam. Myśląc o przyszłości, bałam się wizji kolejnych lat, przez które męczyłabym się to w szkole, to w domu; z kolei myśląc o tym, jak wyglądałoby moje życie z Henrikiem — o domu, w którym mieszkalibyśmy z dziećmi Ottona i moimi, o tym, jak musiałabym kłamać i ukrywać przed nimi sprawy mniejsze i większe — na to też nie umiałam się odważyć.

Tamtego dnia w marcu, kiedy długo chodziłam wokół Frognerdammen⁴⁶ i rozmyślałam, aż doszłam do wniosku, że to jedyny możliwy wybór, jeśli mam ze sobą wytrzymać

⁴⁶Frognerdammen — historyczny park w Oslo. [przypis edytorski]

i zachować choć odrobinę szacunku do samej siebie, w pewnym sensie poczułam się wyzwolona. „Kiedy to zrobisz, będziesz mieć spokój”, pomyślałam. „Zobaczysz, tak będzie lepiej”.

I nie żałuję. To jedna z nielicznych rzeczy, jakich nie żałuję w życiu. Ale nie czuję radości, że tak się stało. Równie mocno obawiam się przyszłości. Nie jest lepiej.

Poszłam do Henrika; ale kiedy mówiłam, siedząc na kanapie przy drzwiach balkonowych i patrząc na jego bladą, zasmuconą twarz w zmroku, ogarniało mnie coraz to większe poczucie nieszczęścia. Nie wiem, co powiedziałam — próbowałam mu chyba wyjaśnić, co cały czas czułam.

— Najlepiej będzie, jeśli całkiem się rozstaniemy, Henriku... To niemożliwe, żebyśmy próbowali znowu żyć razem... Tylko siebie nawzajem skrzywdzimy.

— O nie, nie, nie, Marto... nie można tak mówić... Skąd miałabyś to wiedzieć?

— W każdym razie dotąd się krzywdziliśmy — powiedziałam.

Wtedy Henrik umilkł.

— Tylko? Naprawdę, Marto? Tak, pewnie masz rację. Ale... tylko się krzywdziliśmy?

— Ty nie — wtrąciłam szybko. — Ale ja wyrządzałam tylko krzywdę. A teraz nawet już mnie nie kochasz.

— Owszem, Marto. W pewnym sensie możesz mieć rację... Ostatnio sam czasem myślałem, że już cię nie kocham. Ale byłem jedynie zmęczony. A teraz, kiedyś przyszła i tak do mnie mówisz, wreszcie rozumiem. Najdroższa... co pozostałoby ze mnie, gdybym już cię nie kochał?!

— Ależ, Henriku — powiedziałam — przecież widzisz, jaka jestem. Zawsze cię źle traktowałam, dręczyłam cię... Nie kocham cię, nikogo już nie kocham.

Henrik siedział, chowając twarz w dłoniach; powoli zawodził, kiedy mówiłam.

— Och tak, Marto, och tak... Ludzie mogą się nawzajem dręczyć... nawet jeśli się kochają.

— Henriku, Henriku... to *musi* się skończyć... Jestem zmęczona i tyś jest zmęczony...

— Nie, nie *jestem* zmęczony, nigdy, przenigdy nie będę zmęczony, tak bardzo cię kocham...

I nagle rzucił się na mnie, zaczął pieścić, błagać i grozić, i sama nie wiem, co jeszcze.

Wreszcie mu się wyrwałam. Leżał skulony na kanapie i szlochał, a ja stałam przy pianinie.

— Nie możesz aż tak się smuć. Nie zasługuję na to, by ktoś mnie kochał...

— Możliwe — powiedział zmęczony. — Ale mnie to nie pomoże. Moja miłość oczywiście na nic się nie zda, skoro nie potrafiłem sprawić, abyś mnie pokochała. Skoro nawet nie rozumiałaś... to na nic. Nie mam zatem prawa... Moja miłość jest bezużyteczna.

— Henriku — powiedziałam — wiem, że powinnam prosić cię o przebaczenie... bez końca prosić o przebaczenie!

— Tylko za co? Że ja cię kocham, a ty nie możesz się zmusić, by kochać mnie? Przecież nic na to nie możesz poradzić.

I odwrócił się ode mnie, żebym nie widziała, jak płacze. A potem poszedł za mną i w drzwiach mocno chwycił mnie za rękę.

— Najlepiej będzie, jak pójdę — odezwałam się. — Jest mi siebie wstyd; nie zasłużyłam, żebyś powiedział mi chociaż słowo na pożegnanie... nie zasłużyłam, żebyś smucił się moim odejściem... i nie mogę nic zrobić, żeby ci pomóc... Pozwól mi odejść, Henriku!

— Tak — rzekł i mnie puścił. — Wiem, że odejdziesz... Nie mogę cię zatrzymać...

I dał mi odejść.

Nie, nie stałam się szczęśliwsza po naszym rozstaniu. Ale równie nieszczęśliwa byłabym, gdybym usiłowała stworzyć z nim wspólną przyszłość.

Bo to nieprawda, że przeszłością jest tylko to, co minęło. Przynajmniej w moim przypadku tak nie jest.

To właśnie próbowałam zrobić cały ten czas — zostawić przeszłość za sobą. Wszystko, co mi się przydarzyło, starałam się postrzegać jako historię, która minęła.

Miłość

Rozstanie

Ale gdy tutaj siedzę i spoglądam wstecz, czasem myślę, że wszystko, co się stało i co widzę, to tylko zewnętrzne skutki. Które zastygły w swych kształtach, co jest nieistotne, niemal przypadkowe. Pod spodem jednak dostrzegam cień — coś, czego nie mogę pochwycić, nie wiem nawet, jak to nazwać. Jakąś moc.

Która nie zastygła i nie umarła. I jakkolwiek potoczy się moje życie, jak będzie wolne, jak niewiele się w nim wydarzy — to, czego nie umiem określić, będzie mi towarzyszyć. Porusza się za mną, czuję tego oddech.

Dość mam swoich, niepotrzebnych słów, którymi staram się uciszyć własny, krwawiący ból.

Pamiętam coś, do czego doszło w szkole w pierwszym roku mojej pracy w roli nauczycielki. Jedno z młodszych dzieci zostało przejechane tuż przed szkolną bramą. Inni wypchnęli dziewczynkę na ulicę, przez co upadła, a wtedy wóz z piwem najechał jej na rękę. Leżała na kanapie w pokoju nauczycielskim, kiedyśmy czekali na lekarza; mężczyliśmy się i ją opatrywali, ale krew sączyła się przez ręczniki, w które żeśmy ją owijali. Biedaczka poruszała cały czas drugą rączką, próbując zerwać opatrunki i krzycząc bez ustanku:

— Chcę zobaczyć swoją rękę... Chcę zobaczyć, jak wygląda...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3..

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/undset-pani-marta-oulie/>

Tekst opracowany na podstawie: Sigrid Undset, Pani Marta Oulie, tłum. Katarzyna Tunkiel, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2024, Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7540-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).